



*Józef Ondrusz*

WSPOMINKI  
OKUPACYJNE

*Józef Ondrusz*

# WSPOMINKI OKUPACYJNE

*Okruchy folkloru  
cieszyńskiego*

---

Czeski Cieszyn 1981



*Józef Ondrusz*

WSPOMINKI  
OKUPACYJNE

*Okruchy folkloru  
cieszyńskiego*

---

Czeski Cieszyn 1981

KN II 12375



KN 12375

943.7 + 12 : 929(437)] "19"

Dotknęły grozy wojny nasz teren zaolziański bardzo boleśnie. Tysiące ludzi przebyło gehennę obozów koncentracyjnych. Niewielu z nich powróciło w rodzinne strony. Konfiskowano majątki wysyłając całe rodziny niemieckim bauerom do pracy. Młodych ludzi wywożono do Niemiec na roboty przymusowe. Prześladowania, poniewierania były na porządku dziennym i były bezwzględne. Niemiecki „herrenvolk“ skrupulatnie likwidował element polski i wszelkie po nim świadectwa kulturowe. Ale lud nie był tylko bierną ofiarą. Walczył ze zniechęconym okupantem jak się dało i gdzie się dało. Najwięcej walczyło na frontach – wschodnim i zachodnim, walczyli w partyzantce, sabotażu. Ci, co nie wytrzymywali tej potwornej presji, przyjmowali volkslisty, byle przetrwać. Oni też najczęściej pozostawali, pracując w kopalniach, hutach. Kto volkslisty nie przyjął, praktycznie podpisywał na siebie wyrok. Wobec nich wszystko było wolno. Mało ich przetrwało. I dlatego z takim ogromnym entuzjazmem witano w maju 1945 roku wyzwolicieli – żołnierzy Armii Czerwonej, przynoszących, przywracających życie i uśmiech nad Olzę.

Pozostały bliźny na tej ziemi – Żywocice, Barbara, Cieszyn, Skrzecznoń, pozostały tablice pamiątkowe na obeliskach i w szkołach, przypominające nazwiska tych, którym nie było dane przeżyć, by cieszyć się pełnią życia, by działać i tworzyć.

Pozostała pustka, ból i żal po stracie bliskich, kochanych.

Czas jednak zbliżnił rany, uspokoił wspomnienia. Życie bowiem potoczyło się tak wartkim nurtem, że nie stało czasu na nieustanne rozpamiętywanie tego, co tak bardzo bolało w 45. roku. Przyszły nowe pokolenia, trzeba było budować nowe fabryki, mieszkania, szkoły po to, by żyć w dostatku, w radości i pokoju.

Ale ludzie niestety jakby zapomnieli o swoim postanowieniu, które wyniknęło z grozy nad tym, co ludzkości przyniósł faszyzm, militarizm niemiecki, druga wojna światowa. Świat, a raczej ta połowa imperialistyczna, zapomniała szybko o przyrzeczeniu, że „już nigdy więcej”. I tak memento przeszło pięćdziesięciu milionów ofiar drugiej wojny światowej stałoby się pustą przestrogą, gdyby nie Związek Radziecki, państwa socjalistyczne i postępowe siły w świecie. Dzięki ZSRR, Europa pomimo różnych kryzysów żyje 36 lat w pokoju, a ściślej mówiąc, nie było w Europie wojny. Z całą mocą należy podkreślić, iż stan ten zawdzięczamy przede wszystkim pokojowej polityce Związku Radzieckiego, któremu w braterskim sojuszu pomagają ze wszech sił państwa Układu Warszawskiego. Od początku swojego istnienia bowiem Kraj Rad swoją politykę zagraniczną opiera o takie wyznaczniki jak walka o zachowanie pokoju, pokojowe współistnienie państw o różnych ustrojach społecznych, poszanowanie suwerenności drugich państw, dążność do pokojowej współpracy na zasadach

wzajemnych korzyści i szacunku itd. Jest to zgodne z zasadami socjalizmu, ustroju, którego nadrzędnym celem to stwarzanie jak najlepszych warunków ekonomicznych i duchowych do wszechstronnego rozwoju każdej jednostki i całego społeczeństwa. Taki stan można osiągnąć tylko w warunkach pokojowych, kiedy nie trzeba wyprodukowanych wartości zamieniać na broń, zamiast je przeznaczyć człowiekowi do używania.

Świat niestety jeszcze jest podzielony. Istnieją i działają bardzo poważne siły imperialistyczne, dążące do panowania nad światem, by z tej władzy czerpać zyski. Świat jednak, mając wzór w Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i w obozie państw socjalistycznych, wymyka im się po prostu z rąk. Runął cały system kolonialny, coraz więcej państw rozwijających się wybiera socjalistyczną drogę tegoż rozwoju. Imperializm, światowa reakcja, burżuazja będą jednak robić wszystko, absolutnie wszystko, by się uratować przed zanikiem, by go jak najbardziej oddalić. Dlatego na naszym globie wciąż wybuchają jakieś wojny lokalne, mogące w każdej chwili przestoczyć się w pożogę światową. Stąd okresy zimnowojenne, stałe wywoływanie napięć i konfliktów. Wszystko jednak dotychczas zdaje się na nic, bowiem Związek Radziecki i Światowy System Socjalistyczny rozwijał się tak dynamicznie, iż mógł stałe utrzymywać równowagę sił, niezbędną dla utrzymania na wodzy militarystów zachodnich. Mało tego. Sytuacja doszła tak daleko, że dziś nie można o niczym rozstrzygnąć w świecie bez udziału ZSRR, czołowego przedstawiciela państw socjalistycznych. Ta sytuacja doprowadziła w latach siedemdziesiątych do okresu uwolnienia na-

pięć, do rozwoju pokojowego współistnienia. Niestety, początek lat osiemdziesiątych przyniósł niebywały wzrost prowokacji ze strony sił imperialistycznych, zwłaszcza w USA. Rozkrecono tak potworną spiralę zbrojeń, że przeraża ona nawet polityków zachodnich, zwłaszcza że Stany Zjednoczone nie zatajają swej strategii utworzenia z Europy terenu konfrontacji wojskowej. W „odwet“ Związek Radziecki przychodzi stale z nowymi i coraz śmielszymi propozycjami pokojowymi, rozbrojeniowymi, zwłaszcza w zakresie ograniczeń broni nuklearnych. Na XXVI Zjeździe KPZR przyjęto Program pokoju na lata 80-te. Niestety, jest to, jak na razie, ciągle jednostronne wyciąganie ręki, bowiem USA torpedują wszelkie rozsądne drogi do ugruntowania pokoju na świecie. Tak dalej być nie może.

Powiedział na XXVI Zjeździe KPZR tow. Leonid Breżniew, iż dla narodu Radzieckiego, dla jego Partii, jak zresztą dla wszystkich państw, narodów i rządów na świecie nie ma w danej chwili nic ważniejszego, jak walka o zachowanie pokoju. Tę maksymę my tu u nas, w naszych warunkach aktywnie wcielamy w życie. Zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, iż pierwsza linia walki o pokój przebiega w warsztatach pracy, w kopalniach, hutach, na polach, przy biurkach czy w ławach szkolnych. Wszędzie tam, gdzie tworzymy dobra materialne i duchowe, tam, gdzie produkując realizujemy uchwały XVI Zjazdu KPC, w najważniejszy sposób walczymy o pokój. Bowiem tylko silne ekonomicznie państwo, silne zjednoczeniem społeczeństwa, może stworzyć siłę militarną, zdolną obronić pokój, który przyszedł do nas w maju 1945 roku.

W przypominaniu tych wszystkich historycznych wydarzeń, spraw, warunkowań, tendencji w polityce światowej, chodzi nam przede wszystkim o to, aby sprawy te rozumiała młoda generacja, młodzi ludzie, którzy — na całe ich szczęście — nie zaznali grozy wojny, głodu, poniewierki, niepewności jutra. Nie zaznali niemieckiego Drang nach Osten, nie zaznali niewyobrażalnego zezwierzecenia tak zwanych nadludzi, którzy bezbronnym zadawali cierpienia z uśmiechem na ustach. W rękach

tych młodych ludzi leży bowiem los pokoju a swoją postawą powinni sprawić, aby prawdy o wojnie, jej grozach nie musieli doczytywać się we własnych łzach boleści i smutku, łzach, które nam pamiętającym osuszyła radość życia w pokoju. Pamiętajmy w codziennej naszej krzątaniu, iż hasło rzucone przez Klementa Gottwalda — „Buduj ojczyznę, umocnisz pokój“ nic nie traci na swej aktualności.

Dr Stanisław Kondziolka  
przewodniczący ZG PZKO





## PRZEDMOWA

Dziewiąty z kolei zeszyt tematyczny Sekcji Folklorystycznej – WSPOMINKI OKUPACYJNE – OKRUCHY FOLKLORU CIESZYŃSKIEGO – jest ciekawy pod wieloma względami i z różnych punktów widzenia. Może poniekąd zaskoczy niejednego podtytuł, ale wyraża on treść właściwie; na nią bowiem składa się ta część twórczości umysłowej ludu znad Olzy, która w latach nie spotykanego dotąd u nas terroru wyrażała się w formie słownej, gdyż inna forma tej twórczości była za czasów hitlerowskich po prostu niemożliwa. Kolportowana za pomocą przekazu ustnego podlegała charakterystycznym dla niego zmianom i nabywała cech powszechności. To dotyczy pieśni ludowej, przysłów i anegdot, czyli bezspornych tekstów ludowych.

Pozornie kontrowersyjnymi z punktu widzenia folklorystycznego mogą się jawić opowieści wspomnieniowe. Pozornie tylko, bo chociaż narratorzy opowiadają o najzupełniej prawdziwych przeżyciach swoich lub o zaobserwowanych wydarzeniach, to opowiadania te mają wszystkie cechy opowieści ludowej, a ich autentyczna gwara cieszyńska – dolańska i góralska – kwalifikuje je do rzędu literatury ludowej wysokiej próby i o poważnym ciężarze gatunkowym.

Jak dotychczas, poza kilkoma utworami literackimi w prozie, esaju i poezji, niewspółmiernie mało poruszano w literaturze polskiej w CSRS sprawy z czasów okupacji hitlerowskiej; folklorystyka zaś lewobrzeżnego Śląska Cieszyńskiego, jak dotąd, zupełnie pomijała okres tamtych faszystowskich, koszmarnych lat.

Dobrze się więc stało, że autor niniejszej pracy podjął trud zebrania materiałów folklorystycznych z tamtego, jakże głęboko zapisanego w pamięci ludzi piekła okupacji, i nie mniej dobrze, że Sekcja Folklorystyczna ZG PZKO wydaje ten materiał z myślą zachowania go dla przyszłych pokoleń i dla ocalenia atmosfery tamtych dni grozy od zapomnienia.

Autor niniejszego zeszytu tematycznego, dr Józef Ondrusz, sam mógłby niejedno opowiedzieć o czasach hitlerowskich. Już przed wojną był on bowiem we Frysztackiem znanym społecznikiem, aktywistą młodzieżowym w harcerstwie, nauczycielem z zawodu, o wyraźnym jednoznacznym profilu społeczno-narodowym, parającym się z zamiłowania folklorem cieszyńskim, toteż od pierwszego dnia II wojny świa-

towej, równocześnie z wkroczeniem hitlerowskiego Wehrmachtu do Darkowa, ukrywał się przed krwiożerczym gestapo, na którego czarnej liście figurował. Ukrywając się w różnych miejscach podczas całego długiego okresu okupacji aż do dnia wyzwolenia przez Armię Radziecką, nieraz przechodził ciężkie doświadczenia, żyjąc ustawicznie w ciągłym zagrożeniu życia własnego i rodziny. I rzecz znamienita: O tym wszystkim, ze skromności i rzetelnie pojmowanej pracy popularnonaukowej, Ondrusz nawet nie wspomina.

Materiał zebrany przez znanego folklorystę i opublikowany w niniejszym zeszycie nie przedstawia w pełni bogatej twórczości ludowej nad Olzą z czasów okupacji hitlerowskiej. Tak na przykład pieśni było w obiegu co najmniej kilka, chociaż niektóre z nich dotarły do nas z tak zwanej Generalnej Gubernii. Podobnie zresztą niejedna fraszka, anegdota i celny dowcip poszły już w zapomnienie. Cenne są zatem materiały zebrane przez autora, szczególnie te, przy których została już odnotowana informacja o zgonie narratora.

Przedkładamy więc zaledwie okruchy — jak to zaznaczył autor w podtytule swej pracy — materiałów folklorystycznych z czasów okupacji hitlerowskiej, zebrane nad Olzą od Jabłonkowa po Bogumin, z nadzieją, iż zainicjują one dalsze zbieractwo na temat okupacji hitlerowskiej. Pragniemy również złożyć w 42. rocznicę wybuchu II wojny światowej chociażby skromny hołd ofiarom ze Śląska Cieszyńskiego, zakatowanym przez siepaczy hitlerowskich.

**Jan Szymik**

---

## WPROWADZENIE

---

W piątek 1 września 1939 r. rozpoczęła się II wojna światowa. We wczesnych godzinach rannych wojska hitlerowskie uderzyły na Polskę.

Pierwszą ofiarą najeźdźców, zajmujących Śląsk Cieszyński od strony Protektoratu Czech i Moraw, był harcerz Tadeusz Niemczyk ze Stonawy, wychowanek Polskiego Gimnazjum Realnego w Orłowej.<sup>1/</sup> Ciężko ranny przez patrol niemiecki, przewieziony następnie do szpitala w Bielsku, zmarł wskutek odniesionych ran i tam został pogrzebany.

Od pierwszych godzin okupacji hitlerowskiej zapanował na Śląsku Cieszyńskim okrutny terror, skierowany przede wszystkim przeciwko miejscowym działaczom społeczno-kulturalnym i politycznym. Pierwszą ofiarą bestialstwa niemieckiego w Karwinie stał się lekarz tamtejszy, dr Waclaw Olszak, zakatowany w pierwszych dniach wojny przez miejscowych zbirów hitlerowskich.<sup>2/</sup> Wkrótce potem, dnia 18 września 1939 r. w lesie koło kopalni „Barbara“, gestapo rozstrzelało 12 Polaków aresztowanych w różnych miejscowościach Śląska Cieszyńskiego.

Innym przykładem bestialstwa hitlerowskiego jest wypadek Jerzego Samca, kierownika szkoły w Rzece i przedwojennego działacza społecznego Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji.

Kierownik Samiec po różnych przeżyciach w pierwszych miesiącach wojny ukrywał się w swoich teściów w Rzece. Później podjął pracę jako urzędnik parafialny w Bystrycy nad Olzą.

Jesienią 1940 r. zmuszony był udać się do szpitala w Cieszynie, celem poddania się operacji wrzodu na kręku. Lekarze przygotowywali transfuzję krwi. O pobycie w szpitalu niepożądanego Polaka dowiedziało się gestapo, które wydało zakaz udzielenia pacjentowi jakiegokolwiek pomocy i zaplombowało pokój, w którym się znajdował.

Dnia 3 listopada 1940 r. Jerzy Samiec zmarł w okrutnych męczarniach, pozostawiając po sobie dwoje dzieci i ciężko chorą żonę.<sup>3/</sup>

Śląsk Cieszyński włączono do Rzeszy Niemieckiej. Na całym terenie zamarło zupełnie polskie życie kulturalne, szkoły polskie przestały istnieć.

Faszyści niemieccy starali się zatrzeć jakikolwiek ślad polskości. Hitlerowcy plądrowali i palili polskie biblioteki publiczne i prywatne. Młodociani fanatycy i młokosi z szeregów Hitlerjugend, rekrutujący się między innymi spośród uczniów byłego gimnazjum niemieckiego w Boguminie, bili po twarzach i kopali ludzi dorosłych za każde słowo wypowiedziane po polsku. Nauczyciele i profesorowie polscy, międzywojenni działacze kulturalno-oświatowi i polityczni powędrowali za druty kolczaste hitlerowskich obozów koncentracyjnych, skąd rzadko który z nich powrócił do domu.

Okupacja niemiecka była dla ludu cieszyńskiego okresem koszmarnej niewoli. Polakom, pracującym w górnictwie, hutnictwie, w fabrykach czy innych zakładach pracy, potrącano 15 0/0 z zarobków, robotników naro-

dowości polskiej pozbawiono dodatków żywnościowych dla ciężko pracujących, przyznawanych Niemcom i germanofilom, Polacy na każdym kroku narażeni byli na szykany, areszt, obóz koncentracyjny, na śmierć. Świadczą o tym setki i tysiące ofiar spośród tutejszej ludności, zakatowanych w hitlerowskich więzieniach i obozach zagłady, powieszonych lub rozstrzelanych w różnych miejscowościach Śląska Cieszyńskiego. Denuncjowali ich liczni zakapturzeni w okresie międzywojennym miejscowi germanofile i sympatycy Hitlera, którzy po włączeniu Śląska Cieszyńskiego do Rzeszy otwarcie manifestowali swą niemieckość. Zaprzańcy ci chodzili w krótkich spodniach, białych pończochach i tyrolskich kapelusikach, niemczyli swoje nazwiska, mówili tylko po niemiecku, dzieci swoje wychowywali w duchu hitlerowskim, a Polaków przekonywali, żeby już nareszcie przestali być Polakami, gdyż Hitler wojnę wygra i Śląsk Cieszyński pozostanie w Rzeszy Niemieckiej na zawsze.

Polacy nie ulegli jednak podszeptom owych zaprzańców i renegatów, i terrorowi hitlerowskiemu, nie wyzbyli się nadziei, że cały ten okrutny koszmar wkrótce minie. Pokrzepiali się nawzajem w wytrwaniu, przekazywali sobie potajemnie różne wieści docierające tutaj różnymi drogami z Generalnej Gubernii, mówiące o najróżniejszych bestialstwach popełnianych przez hitlerowców na Polakach. Wieści te, zupełnie niewiarogodne i nie dające się zmieścić w wyobraźni normalnych ludzi, starano się poprzeć niezbitymi dowodami. Pamiętam, jak jesienią 1940 r. zawędrowało nieznanymi drogami i nie wiadomo poprzez ile rąk do mojej matki pstrokate ziarno fasoli, otoczonej niezwykłą historią. Podawana potajem-

nie z ust do ust anonimowa historia opowiadała, że w pewnej wsi w Polsce wymordowali hitlerowcy obóz jeńców polskich, zwłoki ich pogrzebali w tajemnicy przed miejscową ludnością, a na zbiorowym grobie pomordowanych, dla zatarcia śladów popełnionej zbrodni, posadzili fasolę. Tajemnica zbrodni niemieckiej — jak informowała opowieść — wyszła jednak na jaw. Na ziarnach owej fasoli zebranej jesienią widniała zielonkawa sylwetka żołnierza polskiego w mundurze. To naprowadziło ludność miejscową na ślad masowego grobu, w którym znajdowały się ofiary bestialstwa niemieckiego.

Głód polskiego słowa drukowanego zaspokajano potajemną lekturą szczęśliwie uratowanych i skrzętnie ukrywanych książek z miejscowych bibliotek publicznych, oraz starych kalendarzy odszukanych na strychach. Rolę wędrowniej biblioteczki spełniała rękopiśmienna gazetka „Iskry“, redagowana i pisana przez Teofila Stolarza, górnika z Markłowic Dolnych koło Frysztatu. Ten uharowany górnik, w wolnych po pracy chwilach, wypełniał zwyczajne zeszyty szkolne podaniami ludowymi, przysłowiami, tekstami pieśni, anegdotami oraz własnymi wierszami i opowiadaniem, spisywanymi „ku pokrzepieniu serc“. Zeszyty te krążyły potem od sąsiada do sąsiada, zastępując im polskie książki i czasopisma.

Terroryzowany przez Niemców lud cieszyński podtrzymywały również na duchu krążące w odpisach przepowiednie Sybilli i Wernyhory, czytowane wieczorami przy zaciemnionych oknach, i szeptem komentowane przez dorosłych słuchaczy.

Pomimo straszliwego terroru, niewymyślniejszych okrucieństw i represji, Polacy trwali przy swojej narodowości. Na nic się zdało wywłasz-

czanie rodzin polskich i wywożenie ich do Niemiec na roboty przymusowe w rolnictwie, w kopalniach i fabrykach zbrojeniowych. Ludzie wierzyli niezłomnie, że chwila wyzwolenia nadejdzie.

Na Śląsku Cieszyńskim, podobnie jak w innych krajach zagarniętych przez Niemców, rozwijał się ruch oporu. W Beskidach pojawiły się grupy partyzanckie, do których wstępowały ludzie ukrywający się przed gestapo, zagrożeni wysyłką na roboty przymusowe, aresztem i obozem koncentracyjnym czy też poborem do wojska niemieckiego. Wielu żołnierzy niemieckich, rekrutujących się spośród obywateli Cieszyńskiego, którzy przyjęli tzw. tymczasową listę narodowościową i w następstwie tego powołani zostali do armii hitlerowskiej, po przyjeździe na urlop dezertowało i zasilalo oddziały partyzanckie. Zarówno w grupach partyzanckich jak i w ruchu oporu na Śląsku Cieszyńskim działało wielu miejscowych komunistów, nadając temu ruchowi charakter internacjonalistyczny.

W odwet za działalność zbrojną ruchu oporu gestapo dokonało dnia 6 sierpnia 1944 r. największej zbrodni na Śląsku Cieszyńskim, mordując w bestialski sposób 36 niewinnych obywateli Żywocic.

Ciemieźoną ludność polską na Śląsku Cieszyńskim podtrzymywała na duchu również kpiarska anegdota, ośmieszająca Niemców i bezlitośnie z nich szydząca. Niektóre z anegdot przywędrowały do nas z sąsiedniego Protektoratu lub odległego Generalnego Gubernatorstwa, albo stanowią po prostu aktualizowaną adaptację znanych kawałów. Bohaterem anegdot okupacyjnych był najczęściej sam Hitler oraz jego zausznicy i czczyciele.

Oprócz anegdot podawano sobie z ust do ust wieści docierające tutaj z obozów koncentracyjnych, relacje o wydarzeniach na kopalniach, o wzmagającym się z dnia na dzień ruchu oporu, o bohaterskich czynach partyzantów. Opowieści te nasyczone były nie tylko bezgraniczną nienawiścią do wroga, ale i serdecznym współczuciem z pracującymi w kopalniach karwińskich jeńcami radzieckimi, którym górnicy przynosili potajemnie z domu drugie śniadania, ratując ich w ten sposób przed zupełnym wycieńczeniem i śmiercią głodową.

Niezłomna wiara ludu cieszyńskiego w wolność, która nadejdzie, spełniła się w maju 1945 r. Koszmar okupacyjny przeminął bezpowrotnie. Pozostały po nim zaledwie strzępy pieśni, przysłów, anegdot i opowieści ludowych, tworzących folklor II wojny światowej, który długo jeszcze pozostanie prawdomównym świadkiem owych dantejskich czasów.

Jeśli chodzi o pieśni ludowe, to zapisałem zaledwie jedną, mianowicie w Nydku pod Czantorią. Strzęp innej, śpiewanej pod koniec sierpnia 1939 roku przez harcerzy powracających z obozu letniego, słyszałem w Zebrydowicach. Oto dwie zapamiętane zwrotki:

Hitlerze, Hitlerze, wybij  
se to z głowy,  
byśmy sie dzielili  
Gdańskiem na połowy.  
Hitlerze, Hitlerze,  
ty świnio germańska,  
wara ci od Polski  
i naszego Gdańska!

Dochowało się również parę przysłów ludowych, których w okresie wojny powstało niewątpliwie więcej.

Liczniejzszymi od pieśni i przysłów ludowych były niewątpliwie anegdo-

ty, opowiadane sobie potajemnie przez Polaków. Kpiną było też niby – „hitlerowskie“ pozdrowienie „Haw liter“ lub „Halb liter“, którym witali się dla hecy niektórzy ufający sobie przyjaciele.

O wiele obfitszym gatunkiem cieszyńskiego folkloru okupacyjnego są opowieści wspomnieniowe, związane

z przeżyciami wojennymi narratorów. Tematyka tych opowieści jest bardzo różnorodna, jak różnorodnymi były okoliczności zajść i wydarzeń, w których owi narratorzy uczestniczyli.

A oto skromny zestaw cieszyńskich drobiazgów folklorystycznych z czasów drugiej wojny światowej:

## PRZYPISY

1) Dla uczczenia i zachowania pamięci druha Tadeusza Niemczyka nazwano jego imieniem Szczep Pionierski przy Polskiej Szkole Podstawowej w Olbrachcicach, pow. Karwina.

2) W morderstwie tego szlachetnego człowieka, dokonanym w kancelarii kopalni „Głęboki“ w Karwinie, brali czynny udział następujący oprawcy: Josef Stiller, kierownik tejże kopalni, kasjer kopalni Bismar, Eduard Drescher, kierownik miejscowej grupy NSDAP, aptekarz karwiński Krammer oraz czterej młodzi hitlerowcy – Karl Plaček, hr. Hans Larisch-Mönnich junior, Walter Nitkiewicz i niejaki Lorenz.

Sylwetkę dra Wacława Olszaka, jego zasługi dla społeczeństwa polskiego w Karwinie i na Śląsku Cieszyńskim oraz przebieg mordu dokonanego na lekarzu przedstawił Jan Sember, b. więzień obozu koncentracyjnego w Dachau, w artykule pt. **Dr Wacław Olszak**, zamieszczonym w „Przeglądzie Lekarskim“, R. 38: 1981, nr. 1, s. 169 – 173.

3) Pisemna informacja Andrzeja Brzeźka, emerytowanego dyrektora Polskiej Szkoły Podstawowej w Rzece, pow. Frydek-Mistek.

# Teksty ludowe



# PIEŚŃ LUDOWA

1. Zahuczały góry, zahuczały lasy,  
gdzie się mi podziały moje młode czasy.
2. Trzy roki zech siedziół pod beczkóm w piwnicy,  
aby mie nie naszli hitlerowscy drzicy.
3. W nocy, jako zwyrze, na łowy zech chodził,  
germanóm maszyny, kaj sie dało szkodził.
4. Niech nie żyje człowiek i niech sie nie rodzi,  
co by cały żywot jyny drugim szkodził!

Pieśń śpiewał w 1956 r. Paweł Hudzieczek z Nydku.  
Zapisał Józef Ondrusz.

# PRZYSŁOWIA

Adolf nawarził, ludzie zeżrać muszóm.

Beleby do wiosny, a potym zaś jakosi.

Dyżeś zgłupnół, stary capie, tak se teraz na frónt szłapiesz.

Mosz pysk jak betribsobman.

Niech szlak trefi tego, co je wojna jego.

Spluwo jak Firer po ofynzywie.

Stojóm jak szwoby pod Moskwóm.

Szpyreczko, szpyreczko, co sie z tobóm stało?

Wojna cie zeżrała, witelo zastało.

Szpyrki, chleba – szczypta mało, byleby sie choć dychało.

Uciekajóm jak Niymcy spod Stalingradu.

Żodne drzisty bez folkslisty.

Kański w Polsce, jak już Niemcy zająni jakómsi dziedzinie, to prziszedł do szkoły jedyn tamtejszy folksdojcz i prawil dzieckóm tak:

— Jutro przidzie do szkoły nowy her oberlerer, kierego musicie pieknie przywitać. Jo tu przidym z nim, a jak na was mrógnym, to wszyscy głośno powiyecie: — Guten morgen her oberlerer!

Potym to przywitani ćwiczyl z dzieckami całóm godzinie, aby se to dobrze zapamiyntały.

Na drugi dziyl prziszedł do szkoły nowy oberlerer i tyn folksdojcz mrógnyl na dziecka, a óny hókly jak na wiwat:

— Butem w morde te cholere!

★ ★ ★

Mówi jedna babka do drugi przy mięsnyim sklepie:

— Ja, ja, przed wojnóm, to u masorza za oknym było: tu kieisko, tam mięsisko, a w postrzodku kielbasiisko. A teraz, za Niemców: tu kwioteczek, tam kwioteczek, a w postrzodku Hitlereczek, a mięsa nigdzi!

★ ★ ★

Roz za Niemców prziszła jedna staro babka na gmine i pozdrowiła:

— Niech bydzie pochwalóny Jezus Krystus!

Urzyndnik wyskoczył jak oparzóny i zaryczol:

— Zapamiyntejcie se, muter, że sie u nas pozdrowio „Hajtler“!

Potym, jak ta starka odchodziła, powiedziála wylękano:

— Tóž se tu zustóncie z panym Hajtlerym!

★ ★ ★

We szkole opowiadu nimiecki nauczyciel dzieckóm, jak to wszystkie narody na świecie podziwiałóm Niemców za jejich bohaterstwo. Jedyn synek nie wydzierzol tej chwały, stanól w ławce, idzie ku dwiryzóm i prawil:

— My, Polocy, tóż ni! Wy nas mo-  
żecie pocałować w d...!

— Was? Was? — pyto sie Niymiec.

— Ja, nas, nas Poloków! — odpow-  
wiedział synek i trzasnął za sobą  
dwiyrzami.

★ ★ ★

Prawi Gustlik do kamarata:

— Karlik, załóźmy sie o skrynta,  
że sie domówiyim z tym hitlerowskim  
sztajgryml

— Dobrel — zgodził sie Karlik.

A Gustlik prawi do sztajgra:

— Panie sztajgier, pocałujcie nas  
kañsi!

— Was? Was? — pyto sie hitle-  
rowiec.

— Nó, nas, nas! — odpowiada Gu-  
stlik.

I wygroł skrzynta.

★ ★ ★

Sztajgier-Niymiec strasznie przed  
hawiryrami chwolił Hitlera i jak sie  
to wszyscy mająm dobrze.

Naroz Franciek nie wydzierżoł, na-  
smolił sie i prawi:

— Możesz nas pocałować tam, kaj-  
byś nie rod!

— Was? Was?

— Ja, nas, nas Poloków, ty ma-  
mlasie!

★ ★ ★

Jedna gaździno z Gutów poszła na  
urzęd gminny do Trzyńca po po-  
zwolyni na zabici świnię. Pyto urzyn-  
dnika, coby ji miyni tej wogi napi-  
soł, bo mo trzóch synów przy woj-  
sku, a chciałaby im też kęsek mię-  
sa posłać.

— A kaj słóźóm, gaździno, ci wa-  
si synowie? — pyto sie urzyndnik.

— Jedyn je przy marynie, drugi  
przy flakach, trzeci je w nazarecie  
a mo noge w egipcie.

— A skónd żeście sóm, gaździno?

— Przed wojnóm w dziedzinie wi-  
siała tabliczka GUTY, a teraz tam  
powiesili nowóm — HUNDESSPERRE.

★ ★ ★

Przi cechowaniu hawiryzi wolo  
szychtmajster:

— Adolf Dupa!

— Jest!

— Tak was trzeba szpatnie wolać!  
— mówi zaś szychtmajster.

— To je prawda! — odpowiada  
hawiryz. — Od jutra mie wolejcie  
jyny Dupa!

★ ★ ★

Hitler telefonuje do Tisy:

Pómóz, Tiso, bo móm coroz miyni  
samolotów!

— Dóm ci jedyn! — odpowiada  
Tiso.

— Mało! — rycyz firer.

— Tóż ci dóm dwa!

— Mało! Mało!

— Nó tak ci dóm wszystki trzi!

★ ★ ★

— Jak wyglóndóm? — pyto sie roz  
Hitler zwykłego wojoka.

— Jak lew! — odpowiada wojok.

— A widzioleś już lwa? — pyto  
sie zaś Hitler.

— Ja, na obrozk. Na lwie wjyż-  
dżoł kiejsi Krystus do Jeruzalymu.

★ ★ ★

Hitler dostał od japóńskigo cyso-  
rza dwa metry szumnej materyje na  
ubrani.

Potym pozwoł nejlepszych kraw-  
ców z Niymiec, Włoch, Francyje i  
wszystkich zajyntych krajów, ale żo-  
dyn mu nie chcioł uszyć ubrania.  
Wszyscy mówili, że z dwóch metrów  
sie za nic w świecie ubrania dlo  
niego nie uszyje.

Na sóm kóńcie kozoł Hitler zawo-  
łać jeszcz krawca w Polski.

Majster sie podziwoł na te mate-  
ryje, a potym powiedział:

— Wiela chcesz tych ubrań?

— Jak to wiela? Dyć wszyscy kraw-  
cy mówióm, że dwa metry móm ma-  
ło na jedno ubrani, a ty sie mie py-  
tosz, wiela ich chcym!

— U nas Poloków jeżeś taki ma-  
lutki — i pokozoł to dwóma palca-  
mi — tóż tych ubrań możesz mieć  
aji piyńdziesiónt! — odpowiedzioł  
krawiec.

★ ★ ★

— Francek, co znaczy to I S R, co Nymcy malujóm na nikierych chalupach.

— Tóz co? Luftschutzraum, a to znaczy schrón przeciwlotniczy, albo LUDU ŚLĄSKI, RATUJ SIE!

— A co znaczy NSDAP?

— NASI SÓM DALEKO, ALE PRZIDÓM!

★ ★ ★

Roz za Nymców jechali w jednym przedziale pociągu sztyrzo ludzie: babka szeździesiónt roków staro, dziolcha osymnoście roków staro, hawyrz z Karwiniej i esaman. Jak pociąg wjechał do tunelu za Mostami i w przedziale zrobiło sie ćma, rozległa sie pusa, a potym głośno facka.

Jak pociąg wyjechał z tunelu, esaman miał na licu piyńć czyrwiónych palców, Wszyscy siedzóm po cichu i rozmyślajóm:

Starka: — Ni ma jeszcze świat taki zepsuty. Ón ji doł pusy, a óna mu dała w pysk.

Dziolcha: — Nó, wyciel! Starka, zamiast być rada, że ji doł pusy, to mu dała w pysk.

Esaman: — Cyfiks, pusių nie doł, a po pyskach dostoł!

Hawyrz: — Toch pieróna kiwnól! Pocałowołech sie po swoji rynce, a dołech mu w pysk, że sie mu aż świyeczki w oczach rozły!

★ ★ ★

Chwolili sie trzo hawyrze, jaki to majóm piekne tatuaze:

— Jo móm serce przebite na rynce — prawi Karlik.

— Jo móm sagóm dziolche na piersiach — prawi Gustlik.

— A jo móm Hitlera na d... — prawi Francek.

Po szychcie oglóndajóm se w kómpielu przy myciu ty tatuaze.

— Francek, dyć tu ni mosz żodnego Hitlera! — prawi Karlik.

— Toć skurczybyk! — odpowiedziol Francek. — Juź zaś uciyk do bunkra!

★ ★ ★

Idzie Hitler przez dziedzine i widzi dzieci, jak sie bawióm. Bawiły sie tym, co miały pod rękóm. Zbiyrały kozi bobki, kobylińca i cosi z nich ukłodały.

— Na co sie to bawicie? — pyto sie Hitler.

— Na wojskol — odpowiadajóm dzieci.

— A co to sóm ty kozi bobki? — mówi Hitler.

— To sóm wojocy.

— A ty małe kobylińca?

— To sóm generałowice?

— A ty większe kobylińca?

— To sóm feldmarszałkowie.

— A kaj mocie firera?

— Tak wielkiego g... my jeszcze nie naszli! — odpowiada jedyn synek.

★ ★ ★

Hitler sie prziszel podziwać do domu waryjotów. Oprowadzol go jedyn dochtór. Co wylzi do kierej sali, to ci głupi jyny dźwigali rynce i wrzeszczeli:

— Hajtler!

Hitler sie jyny uśmiechol, a potym rzyk do dochtora:

— Par, jak mi hajlujóm! Czymu mi ty nie hajlujesz?

— Dyć jo ni ma waryjot, jo je normalny!

★ ★ ★

Przed krziżym przy Starym Kościele w Karwiniej klynczyz staro babka. Idzie Hitler i mówi do ni:

— Ty tu, babko, klynczysz i rzykosz, a dyć to je jyny figura z kamiynia. Jak ci powiy, żech je Hitler, to klynkiesz przedy mnóm?

Jakbyś wisioł, to też! — odpowiada do babka.

★ ★ ★

Jedzie autym Hitler z Gyryngym przez dziedzine. Naroz szofer musioł zastawić, bo na postrzodku cesty leżoł ogrónny wól. Szofer wyloz, bi je i kopie woła, ale tyn sie ani nie gnie. Potym wyloz Gyryng, ciągnie

woła za rogi, za ocas, ale wół leży dale. Na samym końcu wyłoz Hitler, poklepoł woła po karku i cosi mu poszuskoł do ucha. Wół skoczył na nogi, ocas do wyrchu i już go nie było.

Ciekawy Gyring pyto sie Hitlera:

— Coś mu powiedzioł do ucha, że cie tak zaroz poslechnól?

— Co se ty myślisz! — prawi Hitler. — Tela milijónów wołów mie posłócho, a jedyn by mnie nie poslechnól!

★ ★ ★

Hitler jechoł autym, a bardzo sie mu śpieszyło. Szofer gnoł, co jyny móg i w jednej dziedzinie przejechoł świnię. Chcioł za te szkode ludzióm zapłacić, ale nie było czasu.

Na drugi dzień jechali naspadek. Szofer w tej dziedzinie zastawił, poszeł do tych ludzi i powiedzioł:

— Wiózech wczora Hitlera, a jo te świnię przejechoł!

W tej chałupie było pełno ludzi, bo tam prowie mieli gościne, tóż mu wszyscy zacznij kłókać, dali mu zaroz pojeść gulaszu, poczęstowali go brandwajnym i jeszcze mu dali na ceste paczek z podgarłym i jelitami.

Po godzinie prziszeł szofer do auta.

— Jakoś załatwił? — spytoł sie Hitler.

— Tóż, prawilech, zech wióz Hitlera, a jo te świnię przejechoł. Strasznie sie cieszyli, ugościli mie i jeszcze mi dali jelit i podgarło.

Hitler sie uśmiechnól i powiedzioł:

— Jednak mie ludzie majóm radzi!

★ ★ ★

Kiedy Hitler był roz w Italii, to przed Musolinim wybiyroł straszne ozery z Talijanów, jacy to sóm z nich tchórze i jak Musolinigo nie posłóchajóm, i że z takimi wojokami Musolini na isto wojny nie wygro. Na koniec powiedzioł:

— Jak spotkómy jakigo Talijana, to mu powiesz, żeby ci dol w pysk, a uwidzimy, czy cie poslechnie.

— Nó, dobre!

I spotkali jakigosi Talijana. Musolini mówi do niego:

— Wiysz, gdo jo je?

— Wiym, tyś je nasz ducze.

— Tak strzel mie w pysk!

— Ni mogym! — prawi Talijan.

— Czemu ni możesz? — pyto sie Musolini.

— Boś je nasz ducze!

— Widzisz, jakich mosz nieposłósznych ludzi! — prawi Hitler do Musolinigo. — Jak przidziesz do mie, do Nymiec, to ci pokozym, jak mie wszyscy Nymcy posłóchajóm!

Za jakisi czas Musolini przijechoł do Nymiec, do Westfal. Z jednej szachty wyszli prowie po szychcie hawiryze. Hitler zawołoł jednego i prawi mu:

— Wiysz, gdo to je?

Hawiryz sie mu lepszy przizrził i powiedzioł:

— Wiym, tyś je firer Nemiecki Rzeszy.

— Tak strzel mi w pysk!

Hawiryz nic nie patrzol, napluł do dłóni i jak strzelil Hitlera w pysk, tak tyn jyny fiknól kozła w powietrzu i skidnól sie na zym. Jak sie spamiyntol, mówi do Musolinigo:

— Widzisz, jak mie wszyscy posłóchajóm! Z takimi ludziami na isto wojne wygróm!

A potym rzyk do hawiryza:

— Za to, żeś mie poslechnól na słowo, dostaniesz riterkroje. Jak sie nazywosz i skądęś je?

— Nazywóm sie Francek Kotu'a, je zech z Karwinej, ale teraz robijm tuki na szachcie, bo mie Nymcy, jako Poloka, wywizli do Westfal na roboty.

Hitler sie po drugi roz skidnól na zym, a Francek poszeł dali.

★ ★ ★

— Wiysz, Francek, że Musolini sie już nazywo Muwsolili?

★ ★ ★

Po niepowodzeniach wojsk włoskich w Albanii posłał Mussolini telegram do Hitlera:

GREKO BANDITO, DUPA POBITO.  
Podpis: BENITO.

A Hitler mu na to odpowiedział:  
GÓNIM Z PIWNICE DO PIWNICE  
I MÓM PEŁNE NOGAWICE.

★ ★ ★

Telegram Mussoliniego, wysłany do Hitlera po inwazji włoskiej do Albanii, brzmiał również następująco:

KARO AMIKO,  
PER GREKO BANDITO  
DUPA OBITO,  
TUTTO PERDITO  
FINITO — BENITO

★ ★ ★

Hitler z Gyringym zwiedzająm lazaret wojskowy. Prowie tam jedyn wojok umiyrół, tóz ci dwo idím ku jego lóžku. Hitler stanół z jednej, a Gyring z drugi s'róny. Wojok sie tak tymu dziwo, naroz sie rozešmiół i prawi:

— Teraz wiym, że po śmierci pujdym prosto do nieba, bo tak jak Krystus umiyróm pomiyndzy lotrami.

★ ★ ★

Spotkoł Hitler pod lasym wojoka, kiery posmykował prawóm noge po ziymy.

— Od Stalingradu? — pyto sie Hitler.

— Ni, od krowińca! — odpowiada wojok.

★ ★ ★

W dziedzinie pomiyndzy chałupami niemieccy wojocy ustawiali kanón. Ludzie przeszli ku nim i prawióm:

— Idźcie se kaj dali z tym kanónym, dyć nóu ty chałupy roztrzepiecie!

— Ni miyjcie strachu! — odpowiedziół oficyr. — My tyn kanón stawiómý już od Stalingradu, a jeszcze my se z niego nie strzelili, co nas tak Rusi gónióm!

Hitler stoi przed swoim portretem i pyto sie tego na ścianie:

— Ty, Adolf, co bydzie z nami, jak te wojne przegróm?

— Hm, co bydzie? — odpowiada tyn na obrozku. — Mie ściepióm a ciebie powieszóm!

★ ★ ★

Hitler, Gyring i Gybels rozprowiajóm ze sobóm, co bydóm robić, jak sie wojna skończy.

— Jo bydym pisiół pamiyntnik! — prawi Hitler.

— Jo sie zaś roz jak sie patrzy najym i wyspiym! — prawi Gyring.

— Jo objadym na bicyglu cały rajch! — prawi Gybels.

— Nó, dobre — Hitler na to — a co bydziesz robił po połedniu?

★ ★ ★

Po wojnie przichodzi do urzyndu jedyn chłop, że sie szpatnie nazywo, a chcióby sie nazywać inakszy.

— A jak sie nazywoecie? — pyto sie urzyndnik.

— Adolf Dupa.

— A jak sie chcecie nazywać?

— Francek Dupa.

★ ★ ★

Jechała gorolka z Jablónkowa do Cieszyna, a jedyn gestapowiec też. Siedzieli w jednym przedziale. Gestapowcowi sie chciało spać, tóz sie oprził o okno, zasłónił sie firangóm i drzymół. Gorolka cosi zjadła, tóz sie ji niehcyncy cosi przitrefiło. Tyn gestapowiec odewrził oczy, zaruszół nosym i powiedziół:

— Faj, szenska!

A gorolka mu na to:

— Nó, naostatku! Szkołyście nóu zawrzili, gymbyście nóu zawrzili, ale d... nóu nie zawrzecie!

(Wszystkie anegdoty pochodzą z rękopiśmiennego zbioru autora niniejszej pracy).

OPOWIEŚCI  
WSPOMNIENIOWE

Starsi harcerze drużyny stonawskiej pełnili w ostatnich dniach sierpnia 1939 roku w ratuszu służbę w ramach Obrony Przeciwlotniczej. Kontrolowali zaciemnienie okien i byli do dyspozycji komendanta tejże placówki.

Dnia 1 września 1939 roku, gdzieś około szóstej rano, otrzymaliśmy polecenie komendanta:

— Chłopcy, zajeźdźcie zobaczyć, czy się zbliżają albo jak daleko są Niemcy.

Pojechaliśmy na rowerach z Tadekiem Niemczykiem, drużynowym stonawskiej drużyny harcerskiej. Tadek, jako student Państwowej Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszynie, był w mundurku Przysposobienia Wojskowego. Ja byłem w koszulce i rogatywce harcerskiej oraz w długich zielonych spodniach, wypożyczonych od Ochotniczej Straży Pożarnej. Jechaliśmy przez Hołkowice. Po drodze dołączył do nas student medycyny, Tadeusz Marciniak, w cywilnym ubraniu. Jechaliśmy koło kościoła ewangelickiego, wzdłuż wierzb rosnących w tak zwanym Baranowym Dole, w kierunku transformatora na Nowym Świecie. Już na drodze za transformatorem zobaczyliśmy patrol rowerzystów liczący sześć do ośmiu osób. Sądziliśmy, że są to żołnierze polscy. Nie mogliśmy na tę odległość poznać, że się mylimy, więc zbliżamy się do nich. W kierunku do nas szedł nasz kolega Alojzy Orszulik, który powiedział:

— Uciekajcie, to są Niemcy!

Zawróciliśmy zaraz, ale patrol był już tak blisko, że usłyszeliśmy wołanie Niemców:

—Halt!

Widzieliśmy też, że Niemcy zeskałkują z rowerów. Tadek Marciniak, który pozostał trochę w tyle, zdążył uciec na rowerze wzdłuż rzędu wierzb, a ja z Tadekiem Niemczykiem wpadliśmy na pole ziemniaków.

Rozległy się strzały. Tadek Niemczyk położył się w ziemniakach. Sądziłem, że wykonał taktyczne „padding”, dlatego postąpiłem tak samo. Po chwili usłyszałem głos Tadka:

— Włodek, jestem ranny!

Odpowiedziałem mu na to:

— Zaraz ci pomogę, jak tylko ci pieróni odjadą!

Patrol zdążył bowiem polną drogą na wschód, ku Nowemu Dworu. Obecnie jest tam siedziba Jednolitej Spółdzielni Rolniczej.

Jak tylko Niemcy zniknęli z pola widzenia, zaprowadziłem Tadka do najbliższego domu. Ten nie był jeszcze zamieszkały, więc poszliśmy do następnego, w którym mieszkali Sanitariuszowie.

Tadek został postrzelony z tyłu w lewe udo, jakieś dwadzieścia centymetrów nad kolaniem. Ciało miał z przodu poszarpane w wielkości dłoni. Udzieliłem Tatkowi pierwszej pomocy, zrobiłem ucisk i opatrzyłem ranę bandażem. Przy pełnej świadomości Tadek powiedział:

— Uciekajcie! Komendę drużyny harcerskiej obejmie Broniek Molenda!

Potem pożegnałem się z Tadekiem i obiecałem przysłać mu pomoc. Wyślałem też zaraz do niego moją siostrę, Annę Hebdziankę, która pozostała przy rannym i zorganizowała jego przewiezienie. Jak się później dowiedziałem, rannego Tadka odwiózł



gospodzki Jan Recmanik ze Stonawy samochodem do Cieszyna. Tamtejszy szpital był już ewakuowany, dlatego zawiózł Tadka aż do Bielska.

Tam się okazało, o czym ani ja, a początkowo ani sam Tadek prawdopodobnie nie wiedział, że oprócz przestrzelonego uda otrzymał jeszcze postrzał w pęcherz.

Wskutek odniesionych ran Tadek Niemczyk zmarł w poniedziałek 4 września 1939 roku w szpitalu w Bielsku, gdzie został pochowany na tamtejszym cmentarzu.

Ja, na szczęście, nie zostałem ranny, ani Tadek Marciniak. Jemu Niemcy przestrzelili chlebak, w którym kula trafiła w zegarek, rozbijając go w drobne kawałki.

Kiedy po wypadku z Tadkiem Niemczykiem powróciłem do ratusza, opowiedziałem tam, co się stało. Potem w grupie ośmiu starszych harcerzy stonawskich pojechaliśmy razem na rowerach aż do Zamościa, gdzie dnia 13 września 1939 roku zostaliśmy wzięci do niewoli niemieckiej.

Na grobie Tadka Niemczyka w Bielsku postawiliśmy później krzyż brzozy, który zawieźliśmy tam ze Stonawy na rowerach. Wówczas sporządziliśmy również zdjęcie grobu z tym krzyżem.

Opowiedział Włodzimierz Hebda,  
urodzony 15 września 1919 r.  
w Stonawie, zamieszkały  
w Olbrachcicach.

---

## ANI JUŻ TO NI MOGYM OPOWIADAĆ, BO TO BYŁO STRASZNE

---

Jak Niemcy mieli przejść, to wszyscy odchodzili, i mój też odeszoł, nie wiem, daleko do tej Polski odeszoł. Tam nie był długo, ani tydzień tam nie był. Potym jedyn roz siedzym, a tu idzie jakisi chłop. Dziwóm sie, a to Alojz. Jo sie tak strasznie złąkła, i fakt to był mąż. Prziszoł ku mie, a jo mu prawim: — „Ty, Alojz, kajś tu priszoł?“ On mi prawi: — „To tak mie witosz?“ Jo prawim: — „Gdybyś ty wiedzioł, jak tu zawiyrarajóm!“ I zaczął mu mianować, że tyn już je zawrzyty, tyn już je zawrzyty. I akurat na drugi czy trzeci dziyń — ón priszoł w piótek, a w niedziele rano go zebrali. Jak przyjechali po Alojza, to już szwagra przywiozli w tym aucie, i jeszcze kie-rysi tam był, dwa czy trzo chłopci już też tam byli w tym aucie. I zaroz, ani dzieckóm z Bogym, ani nic,

porwali i wio! Bez sóndu, bez wszyckiego, jo chodzila, chledala... I ani już to ni mogym opowiadać, bo to było straszne. Chodziłach na gestapo. Co sie tam człowiek nachodził!

W niedziele go zebrali, a w pyńdziałek rano już ich strzylali w karwińskim lesie. Bez sóndu, bez wszyckiego ich strzylali.

Jo chodzym, chledóm, do Frysztotu, tam mie poslali do Karwinej, z Karwinej mie poslali do Cieszyna tu na czeski strónie, z tego Cieszyna mie poslali do Cieszyna Zachodnigo, z tego Cieszyna zaś do Karwinej, a jo chodzila fórt a fórt, a beczałach, a pytałach, choć zech po nimiecku wiela nie umiała, ale domówić zech sie domówiła. I tak zech chledala.

A był taki jedyn, Sebera, ón wiedzioł, kaj je Alojz i co sie stało. Joch

do niego szła, pytałach go na zmiłowani: — „Panie Sebera“, bo ón miał taki dość sumiyni, jyny Niymiec był, zawziynty Niymiec. Tagech go pytała na zmiłowani. Tak jeszcze do Ligoty mie wzión, choć wiedziól, że Alojza już ni ma. Jeszcze do Ligoty, bo tam mieli jakisi zgrómadzyni, tak mi jeszcze tam kozoł przisać. A jo sie wieczór tłókła do tej Ligoty i czakóm. Na nic to było. Człowiek był taki zrozpaczony z tymi nerwami, zech po nocach nie spała, ale stoła co chwila w oknie w nocy, jeśli nie idzie od kierego cugu do chałupy. Potym połaziłach wszyndy, pochodziła, nic.

Tak w niedziele Alojza zebrali, a w pyńdziałek ich strzelali. Było ich zdaje sie dwanost albo trzinost. Strzylali ich w karwińskim lesie i tam ich pochowali. Dziepro po wojnie był jejich pogrzyb w Suchej, bo w Suchej ich pochowali.

To strzylani było straszne. Wszystko to jynczało, tam ich wciepali do tej dziury, nieumrzytych.

Jak my tam byli po wojnie ze szwagrym, to już my mieli odchodzić, że Alojza tam ni ma, a jednak tam był. Alojz był na samym spodku.

Wszyscy już byli tacy, tacy... ty ciała już były taki oblezione, a mój był całkiem taki, jakby dwa dni na marach leżoł. To ciało jego było taki przischłe kapeczke, a tak był, jakby dwa, trzi dni tymu umrzył.

Do tego czasu nie wiedziałach, kaj jest. Bo mówili, że żyje, że tam je, a tam je, ale jo trufała, że go już ni ma.

Opowiedziała  
Franciszka K o k o t k o w a ,  
urodzona 30 marca 1901 r.  
w Pogwizdowie, zamieszkała  
w Łakach nad Olzą od 1907 r.

Opowiadanie zapisał Józef Ondrusz.

---

## CZTERYSTA MAREK ZA POLAKA

---

Mój brat, Edward Siuda, skończył w 1938 roku polskie gimnazjum w Orłowej. Po maturze przez krótki czas pracował jako urzędnik w Cieszynie. Dwa dni przed wybuchem wojny urząd ten ewakuowano gdzieś do Lublina. Brat jednak zaraz w pierwszych dniach wojny powrócił z Krakowa do domu. Potem pracował jako górnik na kopalni „Barbara“ w Karwinie. Pracował stale na nocnej zmianie. Przez dzień przebywał przeważnie w domu. Niekiedy odwiedzał kuzyna we Frystacie, z którym grywał w szachy.

Po rozpoczęciu pracy na „Barbarze“ starali się przedstawiciele kie-

rownictwa kopalni nieraz zwerbować go do niemieckiego klubu sportowego. Obiecywali mu za to możliwość uczęszczania na wyższe studia. Brat kategorycznie odmówił. Nigdy nie zaparł się swej polskiej narodowości.

Raz w lecie 1941 roku sześcimy z bratem z dworca karwińskiego do domu. Brat niósł pod pachą paczkę z butami narciarskimi, które kupił od kolegi Teodora Guziura za trzydzieści marek. Wtedy spotkaliśmy na drodze innego kolegę gimnazjalnego, który dowiadywał się, co brat niesie w paczce.

Wiosną 1942 roku ów kolega odwiedził brata u nas w domu. Niedłu-

go potem znowu wstąpił do nas, ale brata nie zastał, ponieważ był u kuzyna we Frysztacie. Pojechał więc za nim. Tam w rozmowie z bratem i kuzynem powiedział, że należałoby zorganizować przeciwko Niemcom coś w rodzaju podziemnej opozycji. Jego zachowanie wydawało się bratu i kuzynowi bardzo podejrzane.

Jakoś przed Wigilią 1942 roku przyszedł znów do nas ów kolega brata i zaproponował nam, żebyśmy mogli przesłać coś rodzinie dyrektora Feliksa. Powiedział, że pojedzie do Krakowa, i że mógłby taką paczkę zabrać z sobą. Skorzystaliśmy więc z tej okazji i wysłaliśmy rodzinie dyrektora paczkę z odzieżą i żywnością. Po dwóch tygodniach ów kolega powrócił z Krakowa i opowiedział, że był tam u Feliksów na wieczery wigilijnej, gdzie spotkał również kilku kolegów z gimnazjum. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że zaraz w następnym dniu po wigilii aresztowano dyrektora oraz obecnych u niego wychowanków gimnazjum orłowskiego. Po tym wszystkim zrozumieliśmy, że ten człowiek jest konfidentem gestapo. Brat przykazał matce i mnie, żeby go już nigdy nie wpuszczać do domu.

Po jakimś czasie przyszedł ten konfident znowu do nas i przemocą wtargnął do sypialni, gdzie brat spał po zmianie. Nie wiem, o czym rozmawiał z bratem, gdyż zamknął drzwi za sobą. Potem wyszli razem z domu do restauracji „U Ostarka“, która znajdowała się koło przystanku tramwajowego „Pivovar“ w Karwinie. Brat powiedział mi potem, że byli tam wyłącznie umundurowani esesmani. Brat poznał, że jest przez nich bacznie obserwowany, dlatego postanowił natychmiast opuścić lokal. Konfident wcale nie oponował, ale potem na drodze namawiał brata do

współpracy z gestapem w zamian za korzyści materialne. Zaproponował bratu czterysta marek za każdą osobę wydaną gestapu. Brat z pogardą i oburzeniem odmówił. Było to na początku stycznia 1943 roku.

Kilka dni później wezwano brata i innych karwiniaków przed komisję rasową w Karwinie. Tam go znów usilnie namawiano, żeby stał się Niemcem, ale brat trzykrotnie odmówił. Wówczas zrozumiał, że jest w niebezpiecznej sytuacji i że już niedługo będzie pomiędzy nami.

Wkrótce potem, dnia 26 stycznia 1943 roku został brat aresztowany. Gestapo zabrało go wprost z nocnej zmiany do więzienia w Cieszynie. Tam namawiano go znowu do przyjęcia Volkslisty, ale brat znów stanowczo odmówił. Później przewieziono go razem z dwudziestoma sześcioma karwiniakami do więzienia w Mysłowicach, a stamtąd do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Tam został rozstrzelany dnia 2 czerwca 1943 roku.

W lipcu 1975 roku otrzymałam w związku ze śmiercią brata kartę korespondencyjną od pani Chlebikowej. Mąż jej, fryzjer, został aresztowany razem z bratem i innymi karwiniakami. Był również więźniem Oświęcimia, gdzie go, jako fryzjera, gestapo potrzebowało. Na bloku jedenastym, czyli na bloku śmierci, przed każdą egzekucją obcinał włosy skazańcom. Po wojnie, jako jedyny z aresztowanych z bratem karwiniaków, powrócił do domu w Karwinie, gdzie zmarł w 1973 roku. Przy przeglądaniu garderoby po zmarłym mężu znalazła pani Chlebikowa skrawek marginesu gazety z rękopisem mego brata, napisanym w ostatnim dniu przed rozstrzelaniem. Oto fragmenty tego listu:

Proszę doręczyć na adres: Józef Siuda, Karwina, l. 30 przy Gabrieli.

Za kilka godzin nie będę już myślała z Wami. Stanę przed ścianą śmierci i kula śmiertelna przebije moje serce. Dziękuję za wychowanie i studia. Siostrze i całej rodzinie dziękuję za miłość. Dowodem są ostatnie moje łzy na tym świstku papieru, zakreślone ołówkiem. Giniemy wszyscy za Ojczyznę niepokonaną z winy . . . . ., który nas zdradził gestapo. Taki wyrok powiedziało nam dziś gestapo. Dobrotliwy Maks Chlebik, świadek ostatnich chwil, wyśle Wam ostatnie moje i nasze pozdrowienia . . . Żegnaj Was, a moi koledzy żegnają swoje rodziny – Kubienka, Lasztówka, Matusik, Onderek, Stoszek, Su-

chanek, Sznepka, Sztymon, Waliczek. Wszyscy oskarżamy . . . . . Jeszcze noc, a rano już zginiemy“.

Brat wymienił w swoim ostatnim liście imię i nazwisko owego zdrajcy. Był nim ten sam zaprzaniec, który ma na sumieniu dyrektora Feliksa, swoich profesorów i kolegów gimnazjalnych oraz setki dalszych rozstrzelanych i bestialsko zamordowanych Polaków, za których otrzymał – jak sam to bratu powiedział – po czterysta marek niemieckich.

Opowiedziała  
Maria Biesowa,  
urodzona dnia 19 listopada 1911 r.  
w Karwinie i tam zamieszkała.  
Opowiadanie zapisał Józef Ondrusz.

---

### MIALACH SYNA . . .

---

Miałach syna bardzo porzónanego, nigdzie nie chodził, jyny był zajnty swojóm robotóm. Był wyuczóny ogrodnikym. Ojca nie poznoł, bo mu było trzi roki, jak mu tatulek umrzyli.

Za Nymców robił na Gabryjeli.

Usme go września w sztyrasztyrycatym roku o trzeci w nocy prziszło po niego gestapo. Gestapowcy prziszli do chałupy, do łózka, i zebrali go. Jak gestapowcy odeszli, tak zech siedziała na progu skamiyniało, bo to nie było możne do przeżycio. I słyszalach strzylanine. Za chwile potym, jakosi po pióntej godzinie, jechoł wóz od Szyrokówki, i zaroz baby mówiły, że wiezóm zabitych, bo sie krew lola z woza. Na tym wozie był też mój syn, zastrzelóny. Gestapowcy stawili sie po kopidoła, odwyżli

mortwych na kierchów na Kympe i tam ich pod płotym zakopali.

Zaroz po wojnie zaczynach chodzić na urzyn dy, aby nóm pozwolili zrobić im pogrzyb. I tak my im zrobili pogrzyb. Było to siedymnostego czerwca, w niedziele, w piyńdziasztiryecatym roku. Wykopowali ich tam lyncy Nymcy. A potym za rok postawilimy im na grobie pómnik. Tyn dziyń, jak mi syna gestapowcy zastrzelili, to był nejstraszniejzy cios w mojim całym życiu, i od tego czasu ni mogym przejść ku sobie.

Opowiedziała  
Tekla Burianowa,  
urodzona 16 września 1879 r.  
w Olbrachcicach,  
zmarła 30 sierpnia 1955 r.  
w Łakach nad Olzą.  
Opowiadanie zapisał w 1954 r.  
Józef Ondrusz.

---

## CIEŹKO W TO ŁUWIERZIĆ, CO MY PRZEZ WOJNE PRZEŻIWALI

---

Tak zycznym łód wykopania bunkra. Jak wojna wybuchła, to niejaki Jan Probosz sie už ukrywoł. Tak łón prawił, żeby my se wykopali bunkier, ale to musi być bunkier, coby ja na to nie prziszli! Tak my prze-myślali nad tym, kaj a jak wyko-pać tyn bunkier. Tak my potym ra-zym bunkier wykopali do siebie, że sie bedymy łukrywać. Nó i łón sie tam skrywoł w tym bunkrze, aż po-tyt ci Rosyjanie byli spuszczeni. Kierysi z partyzantów, abo Jan Heczko, abo tyn Probosz im powiedzioł, ji przyprowadzili sie do nas. Ta ra-dijistka Nadzia sie przyprowadziła, tyn Wielki Misza i jinszi też.

Łóni prziszli do nas w sztyrasztyry-catym roku, jakosi ku jesiynti. Jak grupe tego Wielkigo Misze spuścili przy Frydku, tak ta radijistka Na-dzia, bo jich w nocy spuszczeni, tak sie na sośnie łuwiesiła z tym spado-chronym, łóna myślała, że ta sosna je nisko, tak urznyła ty sznóry no-żym, nó ji spadła ji noge zepsuła. Jak jich potym Nymcy spozorowali, bo jednako widzieli, że eroplan w nocy jeżdżił, że jisto spadochroniarzi spuścili, tak tam zrobili łobławe. A tam było wielki paprucy, Nymcy po lesie gónili za nimi, a łóni, ci spado-chroniarze, w tym papruciu byli skryci. Potym łód tego Frydku szli Beskidami, tymi lasami, aż doszli na Koszarziska, bo už byli poinformo-wani, że miejscowi partyzanci tu sóm.

W tej grupie, co była przy Fryd-ku spuszczeno, było jich dwanoście. Byli tam Wielki Misza, Nadzia, Ma-ły Misza, Borys, Tolek, Ignac, Ana-tolij ji jinszi. Tyn Mały Misza to byl łogrómny szpekulant. To wóm roz-

kajsi w Skoczowie post nimiecki na moście stoł ji wachowoł, a łón sie jakosi dostoł popod tyn most, zami-nowoł go ji puścił do luftu z tym postym. Jyny potym na Morowce bo-rok padnył. To był łogrómny, che!

Tu w Koszarziskach už była grupa Gryniewskigo, co był spuszczeny w Łómnej. Jego radijistke ji kapita-na Bajana Nymcy zabili. Ci z Łómnej chodzili za łowczorzym, niejaki-m Lachulokym, jesi tu sóm kaj party-zańci. Nó, że sóm! Tak tyn Lachu-lok złóncził ty dwie grupy — te z Łómnej i te łód Frydku. Nó, ale ci łód Frydku nie wierzili, że to sóm partyzanci, że jesi to ni ma jaki pod-fuk, jesi to ni ma gestapo. Jak tyn Gryniewski prziszel ze swojimi, tak tyn Wielki Miszo z tóm swojóm gru-póm skocził na nich ji rozbrojił jich. Potym głosili do Moskwy, jesi to sóm partyzanci, nó ji Moskwa po-twierdziła, że to polygo na prawdzie. Potym mieli kapkym taki nieporozu-miyny miyndzy seboóm. Bo ci łód Frydku byli spuszczeni jako party-zańci, co mieli szpryngować a ci, co byli spuszczeni w Łómnej, ci byli jako kóntrarozwiedka. Tóz Moskwa potym ustanowiła kómyndantym łó-bóch grup tego Gryniewskigo. To był Gruby Miszo, tak go ci party-zańci nazywali, a mioł pseudonim Nadjożny. Że sie nazywoł Gryniew-ski, to my sie dowiedzieli aż w tym szeździesióntym łósmym roku, jak do nas, do Koszarzisk przyjechoł.

Jak prziszli do nas ci partyzanci, tak my jim musieli powiedzieć, jakóm mómy narodowość, że my sóm Po-locy, kaj miyszkoły, wszystko, bo to musieli głosić do Moskwy. Łóni sie boli zdrady. Jyny tu na Kosza-

rzyskach się jim nic nie stało. Jedna-ko tu ludzie strasznie dziyrżeli do grómady. Potym, jak ci partyzańci przeszli na Morowke, to już na drugi dziyń byli prowie wszyscy rozstrzylani, rozdziwióni.

Ci nasi partyzańci dostowali rozkazy. Niejaki Bielesz z Bocónowic był zwyrzolekarzym, a jego siostra robiła na koleji, tak lóna wiedziała, kany jaki ty transporty nimiecki jadóm, co jedzie, tak to tym partyzantóm donoszali, a lóni zaś do Moskwy. Tak w Moskwie zaroz wiedzieli: — Aha, taki transporty jadóm! Tam už zaś byli dalsi partyzańci, co szpryngowali ty cugi. Też ty transporty bómbardowali i jedno drugi.

Ci nasi partyzańci też ty nimiecki transporty wojskowe wysadzali, bo też dostowali taki rozkazy, a chodzili tam do Polski, ku Skoczowu. lÓni sie przewlykali za kolejarzi, mieli ty uniformy kolejarski, nó i tam wysadzali mosty i ty transporty, co szły na frónt. Ponikiedy jich aji tydzień nie było. My se myśleli — nó, isto jich tam už łapli kajsi abo cosi, ale zaś prziszli.

Potym spali, bo byli zmordowani tymi chodnikami, bo to nie było, jako se iść po ceście, ale trza było iść lasami, śniegym i to. Jyny wtedy už ta zima tak sprzijała, bo wieczór był chodnik dobry, a rano było zakurzóne. A jak nie było zakurzóne, tagech broł kónia i czetyne, siednólech na to ji nibych chodnik robił, cobyh ślady zatrził za nimi, nó.

Potym im też cosi spuszczałi. Rozprawi Nadzia: — „Janie, my potrzebujmy słómy“. A wojsko nimiecki było na partyzantów nasadzóne na lÓstrym w schróniku. lÓni nie powiedzieli, na co jim ta słóma. Mie sie zdało, że lóni chcóm wypolić to schróniko na lÓstrym z tymi wojokami. Te słóme potrzebowali ku

zrzutu. Z Moskwy jim głosili, lo kierej tyn eroplan wyjedzie, tak lóni wiedzieli, że lo tej a lo tej godzinie bydzie jim spuszczoł. Spuszczoł jim tu pod lÓstrym, ta łąka sie nazywo Kopetnica. Tak lóni, jak tyn samolot dożyżdzoł, tak tam słožili łogiyń. Tóms słóme zapolili, aby tyn pilot wiedziól, że tam sóm, a wystrzelili też rakieta. I tam tyn zrzut był. Jinnaczi by sie lóni z tym pilotym nie skómunikowali.

Tak zebrali tej słómy ji szli. A jorano szel a zbiyroł ty potracóne ściebła, kany jaki spadło, aby nie było, że to lod nas ty ślady szły. Nó i potym na drugi wieczór prziszli, że aż bierym kónia a jadym tam, jako jim spuścili ty spadochróny. Jo prawim: — „Ludzie, mocie wy rozum!“ Dybych miól gumok wóz, ale wtedy jeszczé gumoków nie było, to były jeszczé zieleźnioki. — „Mocie wy rozum w nocy po ceście jechać, dy to trzasko na tych ceściskach, dy to daleko słychać!“ Nó i tóż powiedzieli, że to bedymy nosić.

Całóm noc my to nosili, bo tego było trzi spadochróny po dwiesta piyńdziesiónt kilo każdy. Była tam amónicyj, miny, żywności cosi, lyki, maszynpistołe. Nad chałupóm były jeszczé małe smreczki, tak my to tam pochowali. Nie wiym, czy nas kiery podpatrzył abo cosi, ale w to rano tela gestapa ji wojska prziszło ji szukali. Dyby byli lo jedyn smreczek wyszi wyszli, tak by wszecko naszli. To było pod smreczkami takim czetyniokym zagrzebane. Były też tam grómadziska, jako kiejsi pola wyrobiali, tak my dziury w tych grómadziskach wybrali, taki kiśnie pozbijali i dachpapiórym łobili. Potym ty kiśnie były w tych grómadziskach, a w tych kiśniach to z tego zrzutu. A jak my lukłodali ty kamyne na tych kiśniach, tak tyn mech

na tych kamyniach musioł zostać, aby my ja śladu nie zrobili.

Nad chalupóm był taki mur, tak coby nie było trzeba dycki lyżć do tych grómadzisk, tak my kamynie wyjyli w tym murze, a tam my wrzili ty paczki, co do maszypistoli były ty naboje. Dy ji to nas kierysi podpatrzył. IO jaki tydzień zaś prziszli Niyemcy, ji po tym murze! Wyciągali ty kamynie, ale tam už nic nie było. To było straszne przeżici. Jo by už młodym nie żiczył, coby prziszła wojna! To, co sie przeżiwało, tego ci młodzi nie wiedzóm. Aji moji synowie ponikiedy se myślóm, czy to mówimy prowde, czy nie mówimy prowdy, ja!

Niyemcy nas mieli na łoku. Co chwila jakisi ty kóntróle były, gestapo, policyja nimiecko. Roz moja sie dziwo, wtedy my jeszcze byli swobodni, dziwo sie, a Niesperek, tyn szandar nimiecki, co go potym partyzańci zastrzelili kajsi na Nowsiu, tyn Niesperek jidzie. Wyncyj jich szło tych policyjantów, a Nadzia miała bunkier łodewrzity. Tak moja drap! kosz, niby na drzewo leciała, a tyn bunkier zaprała, załožila, tóż už sie ji Niyemcy pytali, że kaj leciała, że po co leciała? — „Tóż, bo mi pod blachóm gaśnie, tózech leciała po drzewo!“ A takich wypadków było wiyncyj.

Roz gestapo było lu nas ze psym. Jyny my mieli strasznie spórnego psa. IOń, jak drugigo psa łuwidziol, tak go jyny zeżrać! Nó i tyn gestapowiec jedyn prziszel z tym psym, a my prowie mieli naszigo spuszczonego. Jak łón skoczył na tego gestapowskiego psa a zaczął go gryżć, tak tyn gestapowiec prawil: — „Zawrzijcie go tu! Zawrzijcie go tu!“ Tak my go zawrzili, jako tyn bunkier był. — „Tako żaba — prawil tyn gestapowiec — miynsz jako tyn, a taki

spórny!“ Partyzańci też pieprz suli. To mieli taki kofel tego pieprza, a przeważnie tyn pieprz dycki suli nad bunkrym. Bo jak idzie tyn policyjny pies, a węchnie tego pieprza do siebie, tak straci czuch.

Nó i tóż byli ci partyzańci lu nas. Potym dostali rozkaz iść na góre Trawny do Morowki. Moskwa jich skierowała, że tam je wielki bunkier, że majóm tam iść. Na tóż my se tak łoddychli, jezeryjo, dy poszli, tak už nóm też kapke lulehczi z głowy! Joch wziył taki morowe gwóździe ji pozabijolech wieko tego bunkra. Nale, cosí my takigo mieli, zabijaczke, a jo kajsikej poszel, a tata mioł cosí wypite i społ se tam, a łóni prziszli z tej Morowki. Tam ich Niyemcy rozbili, rozdziwili. A už byli tak zmynczóni, tyn Wielki Miszo z tóm radijistikóm. IOńa sie pisała Nadzia Kombina. Nó i tak se ło nas prawili: — „Tak už jich też gestapo wymordowało, ale darmo, dali už ni mogymy iść!“ Tak wlyżli na chlyw do siana.

Jo potym prziszel łodbywać krowy, a tu chlyw z postrzodka zawrzity. Co to? Ji zebrolech kól zieleżny, co sie łorstwie bije do ziymi i tym kólym wywożilech ty dwiryze. A Wielki Miszo sie łobudził. W tym sianie se myślól, że to burzyni, to zaś gestapo ji drap! maszypistole. A prawil eszcze tej Nadzi: — „IOstatni nabój zostow do siebie!“ Nó! Nale tóż potym, jak nas poznali, że my to sóm, tóż nie zesšli po tej drabince, jyny zeskoczeni. A łogrómnie płakali ji łopowiadali, co jich zaszło. Radijo jednak Nadzia porwała. Trzo abo sztyrzo sie z tej Morowki wrócili, a było jich dwijadwacet. Tóż teraz co? Połónczić sie jakosi z Moskwóm!

Kajsikej na Milikowie, Na Stowek tam nazywali, tam była nimiecko naluczicielka, a łóna miała radijo na

anody. Tak ji zebrali te anode, coby sie mógli skómunikować z Moskwóm. Potym už ty anody jim nie spuszcza-li, bo frónt sie už zblížól. Tak też kajsi Na Krziwej zebrali anode łod telefónu, a łod radija też. Nikierzi Nijmcy, co už widzieli, że je źle, że už trza kabot łobracać, tak sami ty anody dowali. Bo łu jinszi narodo-wości nie egzystowało, żeby mógli mieć radijo.

Jak Kraków był zabrany, tak Nadzia, bo my na tyn bunkier taki szajty dali, tak łóna dźwigła to wieko, ty szajty spadły, a łóna nóm prziszła powiedzieć, że Kraków je zabrany.

Tak posiedzieli jeszcze łu nas szty-ry, piyńć dni, a potym dostali rozkaz ji musieli łodyńć na Holeszów ku Złnu. Po wojnie nóm z tego Hole-szowa pisali, że Nadzia została za-strzelóno, ale że Gruby Miszo prze-ził.

Było tych partyzantów łu nas, by-ło! Wyjeść nas wyjedli! My na wios-ne ni mieli czim zasadzić. Ani zasioć, ani zasadzić! A ponikierzi ludzie, co nie wiedzieli, że łu nas sóm partyzań-ci, to sie dziwili: — „Nale, cóż też ci ludzie robióm, do diaska kany, że nie ni majóm! Tóz to wszystko poz-jodali!“ Na tóz powiydzcie, dy sie

dziepro w piyńdziasztyrycatym ro-ku, w moju, wojna skóńczyła, a do moja trza było mieć zasadzone ji zasioće! To było!

Tata za Nijmców był skyrš par-tyzantów zawrzity sztyradwacet go-dzin. łOjca brali, że musimy mieć kóntakt z partyzantami. łOjciec sie łodwołował, prawil: — „Dyć syn kaž-dy dziyń wojsku nimieckimu wozi żywność na łOstry, toż jakóż łu nas mogóm być partyzańci, dyć łu nas dziynnie je wojoków a wojoków!“ Tak gestapo zwóniło na niejakigo Adlera, czy to polygo na prawdzie, czy ni. Tyn Adler to był feszter, a łón dzierzól z partyzantami. Adler po-wiedziól gestapu, że łojciec mówi prowde ji na tej podstawie gestapo łojca wypuściło. Nasi partyzańci byli przigotowani, że sie włómióm do więziynia i łojca wypuszczóm. Jyny potym by my musieli pónść wszyscy do lasa. Ale że łojca gestapo wypu-sciło, tak to było nasz szczyńci.

Ciężko w to łuwierzić, co my przez wojne przeżywali!

Opowiedzial  
Jan Jeżowicz,  
urodzony dnia 30 grudnia 1921 r.  
w Koszarzyskach i tam zamieszkały.  
Opowiadanie zapisał Józef Ondrusz.

---

## JAK MY ŻYLI W LESIE

---

W sztyrycatym roku mąż był wy-wiezióny na przimusowe roboty do Nijmiec, a tam go czakoł kóncynttrak. Tam go ludzie meldowali, że je Po-łok a tamto, że mosty wychybowól a tamto. Tóz łón patnostego siyrpnia łuciyk tamstela. Nejpiyrwej łuciyk rychli a zawrzili go na dwa tydzie,

zaś go puścili, a zaś tam był. Potym mu jedyn powiedziól, aż se jako pó-mogo, że go czako kóncynttrak. Tóz teraz jako? Tak łón prawil: — „Wiysz co, jo ci kupiył kartke, aby cie zo-dyn nie chycił przy kasie, a wytroć sie!“ Tak mój przyjechoł do Wyn-drynie, a we Wyndryni sie dowie-



dziół, że už tu chytajóm Poloków, że zawiyrájóm. Tak lón poszeł na Kosiarziska, tam do Sikory, nó ji tam był. Jo ło nim nie wiedziała, ale mie smykali do Jablónkowa, do Cieszina, kaj je? Jo prawiyim: — „Jo nie wiyim, poszeł do Niyemiec, a ni ma go!“ choć zech už potym wiedziała. Nó ji dobre. Ji tóz teraz co? Popisali wszecko, jego łobleczi, wszecko, abych mu nie podowała, nó. Ji tak rok sie lukrywól sóm.

Na świyntego Jóna prziszeł w nocy du dómu, to už był sztyrycaty piyrski rok. Prziszeł du dómu na noc, a rano zaś miół jiść. A jo mu jeszcze chciała kupić chleba, masła, aby miół na chodnik, łobleczi mu dała cziste przewlyc, nó, a był dóma. Nó ale było to meldowane, bo go sómsiedzi widzieli, że w nocy przijechól. Tak prziszeł szandar Delóng, a prawi: — „Wo ist der Rusz?“ Jo prawiyim: — „Nó, ni ma go!“ Ale go meldowali, że je. A my mieszkali, bo my sie mieli budować, w taki szopie. A mój był dóma. Jak słyszól, że prziszeł szandar, tak wyskoczył z tej jizby a na chlywki, kaj zech miała kozy. Nó, a tyn szandar prziszeł a dziwo sie. Mój zeskoczył, miół w rękach bóty, a prawił: — „Wiedzóm co, jo je Ślązok, wyście sóm Ślązok, jo sie stracim a nie beje mie“. Ale tyn szandar z gwerym do niego. Mój widziół, że to, ji tak sie motali w tej szopie. Tyn nie puścił, chycił gwer, ji tak sie motali, aż wyszli na pole. A na tym polu szandar zaczón kopać mojimu do przyrodzynio. A mój prawił: — „Na ty k . . . jedna, ty mnie bejesz kopól!“ Tóz chycił jedném rękóm gwer, a drugóm mu tak łuwalił, że sie tyn kantól. Mój zrobił chybe, bo zamiast mu gwer zebrać, to mu go niechoł. Mój mu jeszcze dziyrgnól jedném, a gwer mu

chynól na bok. Potym szeł do jizby ji wyskoczył przez lokno.

My tam mieli zboži, tak przez to zboži łuciekoł, a tam były taki dziury, snozy a tam to. A tam prawie kosisli siano. A widzieli go. IÓni widzieli ło Ruszu, że go ni ma, a naroz widzieli, jak leci. Mój jyny łukozoł palcym tak, aż sóm po cichu, a gnoł. Nó ji potym szandar widziół, co je, tak jeszcze strzyłoł za nim dum — dum ponad Grocholowóm krowe a to. Ale mój łuciyk na Gródek do lasu. Tyn szandar prawi: — „Nó ja, lón łuciyk, ale ty bejesz z nami“. Nó ji dobre.

Chłapiec nasz był mały, miół sześć roków, tóz łuciekoł też, a jo lecim za nim, aby mi nie łuciyk. A tyn szandar wrzasknól: — „Stój, bo jak-tóz strzylóm za tebóm!“ Jo stanyła, była zech z krótkimi rękowami, boskym, a lón mie kludzi dali na posterunek. Zaszlimy ku Klimkowi, jo se tak łobróciła, a potym mu prawiyim: — „Dajóm sie mi łoblyc, jo je boskym a tamto, tóz jako pujdym na posterunek!“ A jak zech sie łobróciła, to jak dzierzoł tóm kolbe, tak mie nióm szusnól tu przez gymbe, aż mi dwa zymby wybił. Tak zech miała całe szaty skrwawione. Zaszlimy potym, jako je zygalka. W tej zygalkce był Tłóścik, lón sie tak piśoł, lón tam miół kolo. Szandar se prawił: — „Jo se weznym to kolo a pojadam po posiće“. A mie prawił, aż jidym za nim.

Nó tóz, pujdym za nim, ni? A potym trzi razy zaczyło gwizdać, jak Pómboczek na niebie, trzi razy gwizdło. A jo prawiła chłopcu: — „Tata pisko!“ Tak jo chłopca zebrała na barana, a tam je taki mostek mały, jako kolyj je, tak jo popod tyn mostek, a przez wode, przez IÓlze na drugóm stróne! Dziwóm sie, a mojigo nigdzi ni ma. To było w Bystrzicy.

A potym my szli tam do gory, nazywało sie to Wocławówki. Wocławówki to je taki przysłowi. To je, jako je polsko szkoła na Kosiarziskach, na drugi strónie hyn pod Kozubowóm. Tak my tam szli, jako był Sikora Jyrzi, a to był mój brataniec. Nó ji dobre.

Zóndymy tam, jo prawiyim tak a tak, a lóna kludzila krowy, zawiyro, a jo prawiyim — „Wiysz co, Malka, tak a tak sie stało, widzisz, żech je skrwawiono a tamto“. Mówilach ji to, a lóna mi dała slóme do kuchynie, a w kuchyni my leżeli na ziyimi. A Jyrzi, tyn mój brataniec, prziszeł rano a prawil: — „Wiysz ty co, dobrze zrobiła, żeś luciyklá, bo jednako by cie czakoł kóncyntrak. Wiysz co, dej chłapca do rodziny, a ty tu możesz być“. A jo mu prawiyim: — „Jej, do rodziny, kierysi go tam luwidzi, beje meldowoł, a bedóm potym zawiyrać ludzi, ni!“ Ji dobre.

Tóz jo napisała takóm karteczke, zrolowalach jóm, a posłałach mojigo chłapca a jejóm dziolche do jednych ludzi, kaj lón sie tam lukrywól, że jesi go tam ni ma. A ta gaździnka to przeczitała, luśmiychła sie, bo tam był, ale to nie mówiła.

Mój tam wieczór prziszeł ji pytol Jyrzigo: — „Wiysz co, Jurku, niechej jich tu, zanim jaki miejsca dlo nich nóndym“. Ale lón sie boł, bo hned chodzila policyja, gónila po chałupach.

Nó ji tak nas zebroł, bylimy w Gródkowej na chwile na chlywie, potym nas zebroł ji bylimy na chwile w Równicy, lu Hrycka, lu brata na Nowsiu, a potym, jak už my byli kapke to, tak už my mieli swój bunkier. Ni, żebymy mieli taki bunkier, ale jako zajónc pod smrekym, na chwile tu, na chwile zaś tu.

Potym sie ku nóm przilónczili drudzzy. Był tam Sztefek, co łod wojska

luciyk, był tam Probosz, lón teraz je w Raciborzu, potym sie przilónczali ci, co łod wojska prziszeł na łorlab.

Nasi szli za nimi: — „Pujdziesz ku nóm do lasa abo ni?“ A jak nie szel ku nim do lasa, tak mu zebrali gwer, patróny, a jidź tak! Aji uniforme mu zebrali, a puścili go jyny w gaciach. Potym už jich Nymcey nie puszcza-li na łorlab z gwerami, jyny tak.

Nie bylimy wszecy na grómadzie. Jedni mieli bunkier w Sagowej, to je, jako gospoda w Kosiarziskach, jyny po drugi strónie. W Przikrej były dwa bunkry. To tymu, abymy nie byli wszecy po grómadzie, bo jak Nymcey nóndóm jedyn, to drugigo ni. Na jedzyni wszecy chodzili do nas, nó.

Bylimy przez Nymców lotoczóni wiela razy. Ci nasi prawili mojemu: — „Paweł, тебе lada chwila chycóm, bo mosz babe a dziecko“. Jako tego chłapca małego.

Roz ci nasi luciyklá przed Nymcami na Morowke, a my luciyklá cztynami do Psi Doliny. To je w Kosiarziskach, hned pod Iostrym.

Mój wtedy w nocy chytól ryby, a jo go wachowała. Ión chytól ryby pod kamyniami a wychywoł, a to my jodali. Ludzie nóm mówili, až se ziyimioków lukopiymy, tóz my se tak lurypali, lukopali, a tak my žili. Ludzie sie boli nas podporować, żeby jich gdo nie luwidziol.

Tak my byli w Psi Dolinie, w takim gąszczu. A było tam wtedy sztyrycet psów a dwiesta szandarów. Chodzili po lesie. A my? Tam była tako kupa mrowczo, a my za tóm kupóm. Były tam dwa kamynie, mój tam łogiyń kłod, a ty ziyimioki z tóm rybóm my tam warzili. Tu naroz cosi trzeszczi. Chłop prawi: — „Dejcie se pozór, bo cosi jidzie. Zalegnijcie, a nie dejcie sie žiwi chycić!“ Bo

chłapiec też miał gwer, a jo też miała. — „Nie deście się żywi chyćić! Jak polecóm na was, tak strzylejcie!“ A na tyn łogiyń chynól kabot, a hned papryki łostrej kole tego. Nó ji dobre.

My widzieli ji słyszeli, jako to trzeszczało, ale jo by už nie poradziła strzylać, coch sie tak trzepała. A chłopiec klęknól a prawi se: — „Pómbóczku, deście mi skrzidełka, abych móg lulećić do nieba!“ Ji czulimy, jak Niymcy przeszli ze psami na dól.

Chłop potym weszeł na smrek a dziwoł sie. Tam pod Przikróm je potók, a łóni tam polygali a ty psy puszczały do Przikrej.

Dy už to tak było na wieczór, tak my sie zebrawi bez jedzynio, bo sie nómi ani jeść nie chciało, zebrawiły sie do jednego siedloka, też do Rusza. A łón lo nas nie wiedziól. Ci Ruszowie nas też podporowali, ale że my tam wlyźli, tego łón nie wiedziól.

Mój chłop to tam dobrze znoł. Tam był chlyw, co ty barany były w nim zawrzite, a na chlywie było siano a taki to. A tam był taki powoł a tako dziura. Chłop tam w tym sianie wycis plecami takóm dziure, że my tak tam ledwa wlyźli i siedzieli tacy krziwi. Mój szeł wieczór do gazdy a pytoł, jesiby gazdowie mu tam nie dali co zjeść, bo my byli bez jedzynio. Tak mu gaździno dała zymióków kapke a mlyka do gorka chłopcu. Ale chłop nie powiedziól, kany my sóm abo jako.

Na drugi dziyń w polednie, jej, zaś pełno wojska chodzi po chałupach. IU Jeżowicza byli, postrzylali po stodole, że jak w lesie ni ma partyzantów, to sóm na chałupach. Ji dobre.

Chłop miał takóm wielkóm pistole, a dziwoł sie na pole, bo takóm dziurczke zrobił w szynździolach, żeby my

widzieli, co tam chodzi. Przisli. Ci szandarzi to byli, fojt z gminy był, ji siano wyciepować kozali, że jak partyzanci w lesie nie sóm, to sóm na chałupach! A gazda, że lo nas nie wiedziól, tak sie nie bol. Powiedziól, że už je stary, łón se tam siano luloził, a tu ni ma żodnego. — „Jesi chcecie, to se siano wychybejcie, ale jo rynczim, że tam ni ma żodnego!“ Nó ji widzieli, że sie nie boji, tak szli potym na wyrch ci szandarzi, a mieli bagnety nalożóne na gwery, tak do tej słómy tymi bagnetami walili. A tam były taki hrupe krokwie, a my pod tymi krokwiami. A tóż łóni łup do krokwie! łup do krokwie! Potym poszli.

Wieczór zaś my byli bez jedzynio ji chłop zaś tam szeł. Gazda mu prawi: — „Paweł, każeś był, tu było wojska, dej se pozór!“ Ale jim nie powiedziól, że my tam sóm. Tak my zaś tam byli z tydziyń.

Potym nas ta nasza partyja chładała, kaj my sóm, bo łóni kaj byli, tak už tamstela priszli. Tóż my szli do lasa spatki.

Potym my sie tak poniewiyrali, poniewiyrali, aż w sztyrycatym sztwortym roku, w siyrpniu, priszli ku nómi spadochróniarze. Spadli na Radhoszczu, a w Łómnej też. Dwie partyje spadły. A łóni potym jedni drugich chladali po lasach ji zastałi nas w lesie. Jo z chłopcem prowie zbiyrała patyki na łogiyń, a łóni jidóm w baranicach. My sie jich boli! A łóni sie nas pytali, jesi tu sóm partyzanci. My sie boli, że gdo wiy, co to sóm za jedni. A my prawili, że pod las to drzewo słózymy. Tak my szli na przodku, a łóni za nami, a byli przigotowani, jagby tam co złego było. Ale było wszecko w porzóndku, tóż potym było ściskanie, całowanie!

Ci Rusi powiedzieli potym do Rosyje, wiela tu je partyzantów. Tóż jim spuszczałi brón, wiela było trzeja, miny, gwery a tamto, aby każdy miał brón, spuszczałi jim chlyb, wyndzone mięso, ale jim kozali robić. Nasi jich kludzili, bo ci to tu nie znali. Tak chodzili tam do IUstrónio, pod Baranióm, ci chodzili haw, a ci zaś tam, tak sie zlónczali. Aji z Bystrzicóm, z Bańskóm Bystrzicóm też. Wysylaczke mieli, tóż lóni to wysyłali tam, a ci zaś haw, aby jyny pómogać Nymca bić. Tóż chodzili, mosty wychybowali, koleje z transportami, to lóni tak robili. A jo zaś była dóma z tym naszym chlápceym, a potym, kaj nas posłali, tam my szli, czy sie spytać, kaj je moc wojska, kaj możóm iść, aby wiedzieli, kaj sóm Nymcy, aby na nich ci Nymcy nie napadli. Warziłach też, prawda. Nó ji potym lepsi nóm było, bo zaszli też do sklepu, cosi prziniyśli lebo co takigo, ji už było lepij.

Potym w lutym, jak už miało być ku kóncu wojny, to už było w sztyrycatym pióntym roku, tak cała grupa poszła na Morowke, jako niby do Protektoratu. Ale wrócili sie z powrotym, bo tam prziszli do bunkra, a tam už to było meldowane. Tak jich Nymcy łobstómpili dwa razy, ji musieli tamstela. Co łuciykło — łuciykło, co zabili — zabili. Nó ji wrócili spatki, ale moc jich tam padło. Hruby Misza łobył, Wielki Misza padnól kajsi tam, jak už łoswobodzali IOstrawe, Nadzia też, Tolek, Mały Misza. Cosi jich łuciykło do Bański Bystrzice, a my tu zostali sami a dwa Rusi — Kowalynko ji Chlebnikow. Kowalynko żyje ji pisze nóm, ale Chlebnikow zemrził.

Tak potym my sie fórt poniewierali ji to. Bylimy sami w bunkrze, a ci dwa Rusi. A jo żech chodzila tako. Jeszcze to miało nie być, ale

jak nas wygónili z tego bunkra, tak żech to rychli miała. Śniega było, bo to było w marcu, we Wielki Pióntek sie to łurodziło. My byli z bunkra wygónioni, tak my byli za Suchym, tam na lewo łod Samca za tym łasym.

Mie už to nabiyráło, tózech leżala. Przez dziyń my byli w lesie, a w nocy my byli w sarni budzie. Potym, jak jo už to, to my zebrali siana kapke, tak jako krowa sie cieli, a w takim chroście to było. Jak mie to popadło, toch szła ku smreku, chyćilach sie go, łoprziłach sie do strómu a to. A jak mie popuściło, toch szła do tego mojigo barłoga. A potym, jak było pół łósmej rano, to sie mi narodziło dziywczyn. Spadło z wyrchu na dól, że było łobzolane w czetynie, jako faszycyka w brezlach. A chlapi nie wiedzieli, co z tym, czy go chytać, czy jak. Nó ji dobre. Potym zaburzili na Rusa, na tego Kowalynka, a lón łurwoł sznórke z gaci, jo dziecku zawiązała pympek, potym sewlyk koszule, jo dziecko zawinyła do tej koszule ji do gumowego mantla. Ale teraz co z nim?

Tóż potym chlapić szel a ten Rus. Rus szel łasym, a chlapić szel cestóm na IOstry do Klimkowej. Nó, jesiby go nie łokómpali. A tam prowie byli ci wyżsi nimieccy wojocy. Ióna sie bola, że jako takigo łokómpać, dy było taki całe łobzolane. Nó ji nie wziyla go. Prziszli spatki. Rus był nasmolóny, że co teraz? Tóż teraz mój chlóp prziniós łub z łasu, narzolimy wody do szklónki, dziywczycze my dali do tego łubu, mój polywoł a jo go myła. Nó. Tak my go zaś kapke łowinyli, ale teraz do czego go łoblyc?

Tóż potym chlapić szel a tyn Rus. słalach chlápca, a tam była Kluzowa łu Banacia. To też było na Kosiarziskach. Tam Ióna była a miała rok

stare dziywce. Tak chłopca żech tam posłała, a lóna wszecko mi dała. Chłapiec prziniós pierzinke, pieluchi, loblezi, cumel do gymby, flaszke, wszecko mi dała. Ale tóż teraz, kaj pujdymy z nim? Bunkier był roz-bity, dy na to Niymcy natrefili, tak wszecko nóm zbómbardowali. Tak teraz kaj jindzi! Ale mie było zima, bo krupy padały, zima mi było, tak chłop mie zebroł na barana, a tyn Rus niós dziywce. A szlimy do tego bunkra. Kapke go tam łoprawili, a tam my byli. Ale teraz, w czym go zaś kómpać? Tak zaś my posłali chłopca do Gródkowej na Kosiarziskach, do Sikory. Tóż lóna, borok, lóna tam przisła we Wielkanoc, prziniósła mi kapke warzónki z miodym, kąsek mięsa wyndzónego a kąsek babki. A prziniósła też taki szaflik z jednym łuchym. Nó dobre. Ale z tego szaflika nogi dziywczyńciu tyrcały, tóż jako go lokómpać? Tak żech zaś pytała. Tóż aby prziszel chłop, że mu do deske. !Uoblowali jóm a lubili taki korytko, nó ji kómpalach dziecko w tym korytku. A jak żech go lokómpała, toch go łoblykla ji pod smrek żech go wrażła. Nó ji było pod smrekym. Nó a teraz ani wypić mu co dać, tóżech łurwała cosi ze smreka, listek z jagodnika, warzidłach taki czaj ji dowalach mu. Potym zaś, jak nas wygónili po drugi, bo tam potym byli hadziaje, szli łod Kozubowej na dól. To byli !Ukrajnicy, co byli za Niymcami. A my mie-

li wache. A jak my widzieli, że jidzie jakisi wojsko, tóż zaroz pozor, bo wojsko jidzie. Tóż chłopci łuciekali, każdy na swojóm pięść, a jo z chłopcym a z tym dziywczyńciym. Tóż teraz co? Dziywce pod pazuche, prowda, a korzynie tam były, przypadlach głowe, dziecko mi wypadło, zaś żech go porwała pod pazuche ji zaś łuciekała.

Przisłach do jednych ludzi, aby mi jyny dziecko przewinóc dali abo cosi. Boli sie, dy było wszyńdzi wojska. Tak jo sie bierym wieczór do jednych gazdów, co nas też podporowali, żeby nas tam niechali na noc. !Óna sie boła, wojsko tam było, dzie-siyńc wojoków tam leżalo. Ale potym mówiła, azech tam je. Tak lóna to dziywce miała, a jo z chłopcym, my leżeli z dziolchami na chlywie, na słómie. Tóż sie pytali ci wojocy: — „Co to macie takigo małego?“ Ale że w Boguminie bómbardujóm, że jako tymu go tam majóm. Tóż nic nie było.

Na drugi dziyń przisła jedna dziolcha, że nóm tam mój chłop zrobił miejsce na Kosiarziskach. A to už był kóniec wojny.

Opowiedziała  
Maria Ruszowa — „Partyzantka“,  
urodzona 25 lutego 1909 r.  
w Jabłonkowie,  
zamieszkała w Bystrzycy nad Olzą,  
obecnie w Karpętnej.  
Zapisał Józef Ondrusz.

---

## Z MOICH WSPOMNIENI Z OBOZU KONCENTRACYJNEGO

---

Pamiętam dobrze, że ostatnią noc przepracowałem na kopalni „Franciszki“ w Karwinie. Byłem jako pro-wizoryczny dozorca, bo mnie zde-

gradowano. Przychodzi do mnie po nocnej zmianie inżynier Olbert, kie-rownik tej kopalni, i powiada mi: — „Ale ta szychta była ciężka, co!“

Powiadam: — „No, nie była, jak zwykle“. A on: — „No, to jeszcze była mówiła, że to było inaczej“. Zebrał się i poszedł. I faktycznie musiał on coś wiedzieć o tym, co się w najbliższych godzinach stanie. Kiedy szedłem drogą do domu z kolegą Brożkiem, przechodząc koło jego domu, już żona jego wołała na niego: — „Rudek, śpiychej sie, bo tu czekają panowie na ciebie!“ Ja myślę, jacy panowie, i wtem widzę, były to dwie esmańskie dusze. Teraz rozmyślałem: To mnie czeka też to samo, co Brożka. Uciec, czy nie uciec? Jeżeli ucieknę, to zabiorą żonę i dziecko, które było w pieluszkach, i zabiorą jeszcze kogoś innego z rodziny. Szedłem więc prędko do domu i tak po drodze rozmyślałem, co zrobić. Ucieczka albo może śmierć innych? Poszedłem do domu, a mieszkalem, jako wyrzucony z mieszkania, w mieszkaniu przy dworcu w Dąbrowej.

Wstępuję do podwórza, a tam esman jeden z karabinem przeciwko mnie i: — „Wie heisen Sie?“ Powiedziałem: — „Sembol“. — „Also rein!“ I poszedłem do domu. A byli tam dwaj. Żona, dziecko na rękach, powiada: — „Ci panowie czekają na ciebie, że masz iść z nimi, bo myśleli, że nie przyjdiesz“. Ja mówię: — „Co bych nie przyszed? Ja nie mam nic na sumieniu, toch przyszed normalnie ze szychty“. A oni, że mam się zaraz brać i z nimi! Zabrać dwie deki, zabrać coś ciepłego na siebie, jakiś ten, żeby coś, bo to było dzieciętego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. A żona mówi: — „Nó tóż czekej, jo ci zrobiym troszke jajecznicy albo coś zjeść, boś jeszcze nic nie zjod!“ Ale ten Niemiec powiada, że na to nie ma czasu. I powiedzieli: — „Wyjść!“ Więc dziecko, jakby odczuło, buzię tak nad-

stawilo, dała mi pocałunek i żona też. I to było wszystko.

Odszedłem i teraz mnie zaprowadzono do hotelu karwińskiego, do górniczego. Kiedy mnie stąd odprowadzili na przesłuchanie do gestapa, tam już siedział kolega inżynier Dostal, stary Polok Franciszek z Karwiny i jeszcze ktoś, co w tym momencie ani dobrze nie pamiętam. Było ich może ze sześć, ze siedem. Kiedy spisali ze mną protokół, to nas wszystkich odprowadzili do hotelu, do jednej salki, a za stołem siedział jakiś tam człowiek i coś spisywał, na tych archach robił swoje jakieś tam znaczki i dopisywał do nazwisk czerwone RU, co znaczyło Rückwärtz unerwünscht, czyli powrót niepożądana. W tym momencie przychodzi mój bardzo dobry kolega, Lolo Placzek, w Karwinie go dobrze znali z tego, że pięknie śpiewał, bo miał piękny głos. Przechodząc koło mnie, ale już nie jako kolega, powiada tak: — „Ale mamy fajny kasek Korfantymu na sznycle!“ Popatrzyłem na niego, a on ostro krzyknął: — „Już my nie sóm koledzy!“

Tam my byli do pół do jedenastej. Stąd nas odwieziono potem na gestapo do Cieszyna. Tych kolegów nie będę mianował, bo ich było dużo. Z więzienia gestapo, po nie przespanej nocy, odwieziono nas do Sosnowca. Tam przyjechały pulmany, wegnali nas do nich jak bydło i na każdą ławkę nas posadzili po sześciu. Pamiętam dobrze, że naprzeciwko mnie siedział doktor Buzek, obok Machej Emil, sztygar z „Głębokiego“, Sedlaczek Rudolf z Karwiny, no i jeszcze inni.

Pamiętam bardzo przykre wspomnienie, jak wyjeżdżając ze Sosnowca padli sobie w objęcia Cachel Jan, nadsztygar z „Głębokiego“, z Żurkiem, który mieszkał przy „Gabrieli“.

Płacząc jak dziecko powiedział Żurek do Cachla: — „Mój dobry przyjacielu, tu już się kończy nasz los. Widzę, że nas wiozą gdzieś, skąd nie wrócimy“.

Kiedyśmy dojeżdżali i było widać Dachau, wtenczas mówi Żurek do Cachla: — „Teraz, Janie, widzisz, na starość dostaliśmy się do Dachau, ni na roboty, jak nóm mówili, ale do obozu, a za co, to może historia na to odpowie“.

W Dachau na dworcu zastawiono pociąg, a ten dworzec był jak gdyby dąbrowski, taka sama fasada, jakby jeden domek. Wrażenie to zrobiło, że jesteśmy w Dąbrowej. Wtem wchodzi jeden ze służby oficerskiej i melduje, jak się później okazało, lagerführerowi w Dachau: — „Das sind keine Banditen, das sind laute, intelligente Leute: Doktoren, Profesoren, Beamten und so weiter, auch Arbeiter“ i tłumaczy, że nie jest tak, jak się o nas mówiło. Wtenczas on mówi: — „Also, raus!“ Takeśmy wyskakowali i przy wyskakiwaniu widziałem, że tam było może cztery, może sześć karabinów maszynowych, nastawionych w stronę naszego pociągu.

Teraz musieliśmy stawać w dziesiątki, rzędami, aby potem odejść. Jak się później okazało, był to pierwszy transport Polaków do Dachau, a w tym transporcie było osiemset sześćdziesiąt jeden ludzi. Prowadzono nas ulicami, było to tak koło pół do dziesiątej wieczór. Przy lampach my się bardzo nie widzieli, kto idzie koło mnie, ale ludzie pluli po nas. Całe szczęście, że nie stało się, jak to było w następnych transportach, że ludzie rzucali kamieniami i rozbijali głowy. U nas się jakoś obeszło bez tych zranień. Przyszliśmy, naraz widzimy na bramie: ARBEIT MACHT FREI. Brama się otworzyła, weszliśmy do podwórza. Była godzina pół

do dwunastej w nocy. Zaprowadzono nas do łaźni, a między nami został jeden esman i był tak jakoś dość dla nas przychylny, tak się okazywał. Jak się później okazało, był to rewirowy blokajter.

Rano, kiedy słońce zaczęło wschodzić, otwarły się bramy tej łaźni i wychodziliśmy po dziesięciu, ubrani już w pasiaki, do odejścia na bloki. Ja szedłem w drugiej dziesiątce, za mną szły jeszcze trzy dziesiątki, czyli odprowadzano nas po pięćdziesięciu. Przede mną szedł staruszek, był to żyd, a prowadził go pod ramię jego syn, może dwudziestoletni. Esman, który nas odprowadzał na blok, zauważył to, zaczął łajać tego młodego, że musi tego swojego ojca puścić i zaczął smagać bykowcem jak tego ojca, tak tego syna. Ten stary upadł, a myśmy musieli dalej maszerować przez niego. Kiedyśmy doszli do bloku, widzieliśmy, że syn musiał wziąć ojca za nogi, tak pod pachę, i smyczyć go aż ku temu bloku. Ale to go już przysmyczył martwego.

Kiedy już zrobiono wszystkie zapisy, przyszliśmy przed blok trzynasty, a tam już stał sztygar Machej, też już w pasiakach, i mówi: — „Pieróna, aleśmy się dostali, co! Podziwujcie się na ty chachary, co tu napisali!“ A było tam siedem hasła niemieckich, że droga do wolności prowadzi przez posłuszeństwo, nieprzeciwstawianie się służbie obozowej, prawdomówność i jeszcze przez coś tam, czego już sobie dzisiaj nie przypominam. W każdym razie wszystko było nastawione przeciwko nam. A Machej powiada: — „Ty chachary nóm przigotowały taki prziwitani, ale do dupy z jejich hasłami, bo i tak wojne przegrajóm! My nie będziemy żyli, ale Polska będzie!“

Pamiętam, że na drugi dzień nas wywołali na plac lagrowy i wybiera-

no nas do różnych prac, do różnych komand. Pamiętam jeszcze, że był tam jedyn Poznaniak, który był tłumaczem lagerführera. Nazywał się Ziell. Kiedy wybierano dalsze komanda, obok mnie stał Brożek, o którym już wspomniałem, i kiedy przyszło do kwarantanny, było tam trzeba jednego pielęgniarza, więc Brożek chcący czy niechcący, ruszył swoją prawą ręką i mówi: — „Jano, dźwiżej rękę, umiesz dobrze po niemiecku, może się tam dostaniesz, a będziesz nóm potrzebny“. Lagerführer to zauważył i powiada: — „Also, komm!“ I już byłem przeznaczony do kwarantanny, i tam przebyłem aż do zwolnienia mnie, jako pielęgniarz.

Nie mogę mówić o innych komandach, jak tam ludzie żyli, jak byli traktowani, jak niektórzy byli męczeni, jak byli torturowani czy zabijani, ponieważ to mogą powiedzieć tylko ci koledzy, którzy tych wydarzeń byli najbliższymi. Ja mogę opowiedzieć o tym, co widziałem jako pielęgniarz tam przy łózkach, przy tych chorych.

W jaki sposób byli tam ludzie traktowani?

Na rano była może taka pięć razy pięć razy pięć centymetrów kosteczka chleba czarnego, ciężko strawnego, i pół litra herbaty z harckich ziół. Na południe było trochę zupki i dwa czy trzy małe ziemniaczki. Jeśli były zgniłe, to się je musiało wyrzucić i co zostało, to się zjadło. Na wieczór dostało się plasterek cieniutki jakiegoś tam salcesonu, a chleb musiał być ten z tego ranniego. To było wszystko na życie. Nic dziwnego, że w prędkim czasie wszyscy spadali na wadze. Ja, pamiętam, ważyłem coś koło sześćdziesiąt sześć kilo, ale po miesiącu ważyłem pięćdzie-

siąt cztery. I to tak jeden w drugiego.

Na bloku zmarł Jan Buzek, doktor z Dąbrowej. Przed śmiercią powiedział takie słowa: — „Czterdzieści lat patrzyłem śmierci w oczy, ale dzisiaj mi nikt nie da żadnej pomocy. Ratowałem ludzi jak mogłem, a dzisiaj nikt mnie nie uratuje. Zaslepiłem na lewe oko“. Nazywał mnie Żanem, tak jak mnie w domu wołano i jak mnie koledzy nazywali. Na drugi dzień niechał mnie zawołać do swego łóżka. Poszedłem, a on powiada: — „Jak będzie po wieczornym apelu, przyjdź tu do mnie, chcę z tobą pomówić“.

Przysiadłem do niego, a on mi powiada: — „Janku, ja widzę, że już tu stąd nie wyjdę. Chciałbym ci powiedzieć testament na łożu więziennym, ażeby, jeżeli kiedy wrócisz, żebyś to mojej rodzinie powiedział“. Przyrzekłem mu to, a on mi powiedział, że pozdrawia swoją rodzinę, swoją żonę, swoje dzieci. — „Mam do żony taką prośbę, żeby mi nie brała za złe, że pragnę, by prochy moje były złożone w Bystrzycy na grobie mej pierwszej żony. Była to pierwsza moja miłość i myśmy nie mieli między sobą żadnych rodzinnych nieprzyjemności. Synów zaś pozdrawiam, żeby wytrzymali i żeby swej polskości nie zatarli. Ja byłem polskim posłem, więc pozdrawiam dzisiaj wszystkich Polaków u nas, żeby wiedzieli, że umieram jak ten ostatni dziad, na co sobie zasłużyłem. Teraz już nikt by mnie nie poznał w obozie“.

Potem Buzek został zwolniony z obozu, ale był bardzo słaby, ponieważ przechodził ciężką dezynterię i był tak słaby, że nie był w stanie, jak każdy, kto był zwolniony z obozu, żeby stać przed bramą tak długo, aż przyszła godzina dziewiąta, bo wten czas odprowadzali ludzi przez bramę



i odsyłali pociągiem. Chciałem jednak, żeby doktor Buzek i przez to, że był bardzo ciężko chory, żeby się dostał za bramę, bo wtenczas były silne mrozy, coś koło dwadzieścia pięć stopni. I tak go wzięłem na plecy, on zawisnął na moich plecach, zanieśliśmy go przed samą bramę. Stało tam pięciu ludzi. Postawiłem go jako szóstego, a wtem wołał na mnie esman z wartowni: — „Was willst du mit den Knochen machen?“

Ci, którzy znali doktora Buzka, wiedzieli, że był to chłop silny i, pamiętam z pierwszych dni, że ważył sto osiemnaście kilo. Kiedy go smyczyłem na sobie i postawiłem przed bramą, mógł ważyć jakich czterdzieści pięć do pięćdziesiąt kilogramów.

Kiedy wściekły esman widział, że go tam postawiłem i odchodzę, zawo-

łał na mnie, żebym zaczekał. Musiałem go z powrotem wziąć na plecy i smyczyć do rewiru. Przy tym kopał mu i mnie do tyłka. Byłem tak zraniony tymi wojskowymi butami, a biedny Buzek też był bardzo poraniony. Kiedy go położyłem na łóżku, był zanieczyszczony od dezynfekcji po skopaniu tymi butami. Leżał na łóżku, jednak tego wszystkiego nie wytrzymał i zmarł.

Jest to mały fragment moich wspomnień z hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Dachau.

Opowiedział Jan S e m b o l,  
emerytowany technik górniczy,  
urodzony 1 marca 1904 r.  
w Karwinie-Granicach,  
zamieszkały w Dąbrowie.  
Tekst zapisał Józef Ondrusz.

---

## LUDZIE SIE UKRYWALI PRZED GESTAPYM

---

Podczas wojny było u nas w Lutyni schowanych sztyrech, co musieli uciyc przed Niemcami, aby nie zostali aresztowani. Dwudziestego piątego lutego czterdziestego roku aresztowali Pastuszków, Uherka, a pytali się też o Karła Manderle, pytali się na Woski i jeszcze na dwóch inszych. Tyn Manderla się ukrywał od tego dwudziestego piątego lutego czterdziestego roku aż do ostatniego dnia wojny. Ogróme chwile przechodził, chował się po stodolach, po brogach, po siostrach, po bratach, po chałupach, kaj się dało.

W lecie było jeszcze jako tako, bo poradził przenocować na polu, ale w zimie, to już musiał mieć jakisi to ciepło kański we stodole, abo jak się mu udało, to u siostry, abo na górze

kański, abo w piwnicy. Jak się ukrywał u swoji siostry, u pani Zawadzki w Polski Lutyni (w Górnej Lutyni), tak tam wszyscy sósiedzi mieli od ojców nakozane, aby dzieckóm mówili, że o żodnym nic nie wiedzóm, że żodyn tam u Zawadzkiego żodnego nie widziól.

U kómyndanta szantarów niemieckich w Polski Lutyni słóżyła niejako Kokotowa, młodo dziólcha, bardzo piekno. I jedyn roz, jak czosała rano paniczke, tak usłyszala, jak tyn kómyndant mówil: — „Tak teraz za chwilým pujdymy chleđać Manderle, bo mómy sprawym, że tam je u Zawadzkiego. I zaczőn swojóm robotým dali robić. Tak óna, ta Kokotowa, prawi tej paniczce: — „Jeżyżmaryja, paniczko, posłóchejcie, jo cosi dó-

ma zapomniała, jo muszym teraz lecieć du dómu, tam cosik ważnego móm do powiedzynio. Puściłabyście mie na tóm półgodzinkym?“ — „Ale, idź se, idź!“ Tak óna leciała, przileciała do Zawadzkiego i prawila: — „Uciekajcie, panie Manderla, bo za chwylim tu po was przidóm!“ Ledwa to prawila, poszła du dóm do swoich ojców, a Manderla tóż wzión, nałożył brodym, bo miał takóm sztucznom brodym, okulory na oczy, a uciekol.

Ledwa wyszoł ku Kubatkowi, możne tak jakich dwiesta metrów od tej chałupy Zawadzkiego, tak widziol, jak już tam tyrckali trze szantarzi do Zawadzkiego. Manderla sie schowol. Szantarzi tam nic nie naszli, a ani też nie powiedzieli, po co prziszl, widzieli, że nie peć i odeszli.

Tyn Manderla miał różne przeżycia. Podarziło sie mu tóm wojnym przeżyć. Jako mi opowiadol, tak roz sóm siebie nawet szukoł. Jak umrzyła jego matka, tak prziszol sie też na nióm podziwać du dómu, tu na Lanckorónie w Lutyni. W tym czasie nie było tam żodnego dóma. Tu naroz sie dziwo, a tu idzie szantar, przidzie tam i powiado, że chledo Manderle, Karła Manderle, czy go tam przypadkowo ni ma. Manderla prawi: — „Ni ma!“ A ón to byl. Szantar prawił, aż z nim obyńdzie cały dóm, że bydóm chleđać tego Manderle. Tak byli na górze, w piwnicy, we stodólce, w kumorach wszelijakich. Szantar prawił: — „Nó, ni ma go!“ I odeszoł.

Prawil mi potym tyn Manderla: — „Wiysz, jak mi wtedy było, jakech sóm siebie chledo! A całe szczyńści że z tym szantarym nie było żodnego z Lutynie!“

Inszym razem zaś mówił, że byl u swoji siostry. Abo to bylo u jego matki, już dobrze nie pamiyntóm. Jak go chledali, schowol sie na górym. Był tam skryty za kuminym. Óni tam wyszli. Manderla mi powiedziol tak: — „Wierz mi, Rudolf, abo ni, ale mie ci tak serce waliło, że jo se myśloł, że óni to usłyszóm, jak mi to serce bije“. Też sie mu wtedy udało ukryć.

Jedyn roz zaś byl u swoji siostry. W tym czasie też prziszła rewizyja do ni. Miała go skrytego w szafie, w olmaryji. W tej olmaryji cały czas byl, a tyn szantar tam przez pół godziny siedziol. Ta jego siostra byla mlódszo żyńsko, tóż tyn szantar tam z nióm pomówil, jako mlody człowiek drzistoł wszelico. — „A mie tam — prawił Manderla — w tej olmaryji pieróny brały!“ Nale, też sie to udało. A prawił jeszcze: — „To ani ni ma ku opowiedzyniu, co jo wystoł zimy, jak zech musioł po stodolach nocować. W lecie jeszcze jako tako, to człowiek w kopce siana przemocowol, na polu, bele kaj, i na górze, i w stodole, ale w zimie to bylo neygorsze, bo człowiek tego zaobleczynio ni mioł, ani tego jedzynio nie bylo tela, choć mie rodzina spómogała. Z Lutyni bylo wyncej takich, co wiedzieli, zech sie ukrywol, tóż dowali abo pinióndze rodzinie, abo wajuszko, abo kónsek chleba, abo jakóm si tóm kartkym, żeby na tóm kartkym mógli mi co kupić.“

Tyn Manderla już umrzył. Mioł wielki, szumny pogrzyb.

W czterdziestym trzecim roku, w styczniu, mielimy też takowy przypadek na szachcie. Prziszol na szych tym po nimocy Eman Pastuszek, co byl zatrudnióny u naszej firmy. Przi-

szoł po nimocy na piyrzóm szych-  
tym. Prawie my tam dowali do  
hajcmanów jedyn nowy przekop, kie-  
rymy wystrzylali. Jo wyjechał rychli  
na wyrch. Jak sie przewlykóm, tu  
przychodzi ku mie pracownik z od-  
połedniejszej party, kiero miała zje-  
chać na dól, niejaki Francik Woja-  
czek i jeszcze Alojz Niedźwiydź. Pra-  
wióm mi: — „Rudolf, posłóchej, je Pa-  
stuszek Eman na szychcie?“ Jo pra-  
wiym: — „Je na szychcie. Prowiech  
teraz tamstela wyjechał“. A óni pra-  
wióm: — „Bo tu czakajóm na niego.  
Gestapo tam stoi. Jak prawisz, że  
tam jest, to my tam zaroz zjadymy  
i rzeknymy mu to“. Nó i zjechali i  
prawili mu to. Eman, sprytny czło-  
wiek, wyjechał o jedném szoł rychli  
z tak zwanóm obgańkóm. Obgańka  
była przed rewizyjóm klatki, przed  
wyjazdem ludzi na wierzch, to była  
kóntrola, czy klatka jest w porzón-  
dku, a lina też. Ta obgańka słóżyła  
do tej kóntroli.

Tóz ón wyjechał z tóm obgańkóm,  
ale nie wylož po tej strónie, jako  
obyczejnie ludzie wychodóm, tylko  
po drugi strónie. I schował sie tam  
na placu szachtowym miyndzy ku-  
pami drzewa, kiere tam były. Jak my  
potym wyjechali, przewlyklimy sie,  
było tak możne pól sztwortej, jo tam  
siedzym w tej budce od naszej fir-  
my z niejaki Kipasym, dozorcóm  
od tej firmy. Tu sie dziwóm, a Eman  
idzie ku nóm. A Kipas wiedzioł, że  
Emana chledajóm, ale sie robił, że  
nie wiy. A Eman prawi: — „Jeżyż-  
maryja, co móm robić, co móm ro-  
bić?“ Jo mu prawiym: — „Tóz, co  
mosz robić? Schowej sie przynaj-  
mniej do ćmoka, a potym uwidzy-  
my“. Nó, i tak sie schowól. Schowól  
sie tam na placu. Wlož do takigo  
drzewnego kanału, aby mu zima nie  
było, bo to było w styczniu. Potym

wieczór sie wytracił ze szachty i po-  
szoł du dómu i był też aż do końca  
wojny skryty u pani Jośkowej. Po-  
czóntkowo był tam sóm. Później  
Niymscy chcieli jego zónym aresztow-  
wać, tak óna też tam uciykła z dziec-  
kym. Potym tam stary Pastuszek u-  
ciyk, bo go też chcieli aresztować,  
tak już tam byli trze. Potym tam  
był jeszcze pod kóniec wojny nej-  
młodszy z nich, niejaki Stanisław  
Wacławik, tak że już tam byli szty-  
rze aż do końca wojny.

Nejgorszy było w ostatnich mie-  
sióncach wojny, jak my tu do Lu-  
tynie dostali wojoków do każdej cha-  
lupy. I Niymsców, i tak zwanych wła-  
sowców, kónieczkorzi, co jeździli z ty-  
mi taborami. Ci byli nejgorsi. Jak  
mi to pani Wacławikowa później o-  
powiadała, to óni byli schowani na  
górze. Ta góra, aby nie przepuszcza-  
ła żodnych głosów, była prostóm słó-  
móm zadekowane. Było to zade-  
kowane i ućpane, aby była dobro i-  
zolacyja. Ale i tak jedynemu z tych  
Niymsców, kierzi tam byli, było dziw-  
ne, czemu óna, ta Wacławikowa, tak  
moc tego obiadu, tego jedzynio, tak  
moc gotuje. Tak sie tyn Niymiec na  
to pytol. A óna mu mówi: — „Nó,  
wycie, to je tak. Jo muszym tego  
tela ugotować, bo jo nikiedy je na  
szychcie deli, a potym, na drugi  
dziyń, ni móm czasu warzić.“ Tak sie  
wymówiła.

I tak sie im udało wszystkim tam  
przebyć od tego czterdziestego trze-  
cigo roku aż do końca wojny.

Opowiedział  
Rudolf O c h m a n ,  
nadsztygar, urodzony 5 stycznia  
1904 r. w Lutyni Górnej,  
zmarł 20 grudnia 1981 r.  
w Lutyni Dolnej

Opowiadanie zapisał Józef Ondrusz.

---

## O KOLEDZE ADASIU

---

Było to zaraz wtedy, jak powiesili w Cieszynie dwadzieścia cztery ludzi. Spotkałach się na ulicy z Adamym Kostkóm, i mówi: — „Nie stójmy tu tak na oczach, bo się to tym naszym przijaciólóm nie podoba. Przyńdźmy się kapke dali, pomówiemy troszke“. A już było czuć w nim jakisi lęki, jakisi strach był w tych jego słowach, jakby przeczuwał coś złego. Potym my się dowiedzieli, że go zamkli i stamtąd już nie wrócił.

Ale w miyndzyczasie go jeszcze przyprowadzili ze związanymi rękami, bo był podejrzaný o noszyni bróni przez Czantoryje. Miał związane ręce na trzdziesiąstopniowym mrozie, skrepowane łańcuchami, szól po tej naszej ceście, no i miał już ręce zupełnie białe, zmarzłe, taki szpilki lodu były nabite do tych rąk. Zaprowadzili go aż do dómu na Zokamiyń i tam mu kozali rozbiyrać grómadnice tymi zmarzłymi rękami. Jak go katowali, to się prawdopodobnie przyznał, że te bróń ukrywo w grómadnicach. Nó i tam go zaprowadzili, i tymi zmarzłymi rękami rozbiyroł ty grómadnice, ale nic już tam nie było. Mama jego wynióśla tyn worek z brónióm do lasa, jak go zamkli. W miyndzyczasie ta mama umrzıla, ale w dómu została jeszcze głuchonimyo

siostra. Potym ci gestapowcy, co go przyprowadzili, pytali się tej siostry, ale ni mógli się z nióm domówić. Adaś Kostka im pómóg i porozumiol się na tela z tóm siostróm, że się dowiedziol, że mama jeszcze przed śmiercióm tyn worek z brónióm wynióśla kańsi do lasa. I tóz nie naszli tam nic, i wzyli go spatki zaś, w jakich mękach albo gdzie, tego nie wiy. Prawdopodobnie w Mysłowicach albo w Katowicach został ściyn-ty.

A w tym dniu jo szyla na maszynie przy oknie. Było to rano, a jakech już doszywała, obrymbowałach jakómsikej część ubrania, naroz mie zawołało coś dwa razy moim imiynim. Nó i lecym do mamy, i mówiym: — „Mamo, wołaliście mie?“ — „Na ni.“ Nó i siadóm z powrotym ku maszynie i zaś szyjym, i zaś za chwile: — „Nelka, Nelka!“ Lecym zaś. — „Wołaliście mie?“ — „Na ni.“ Nó a w tym dniu, akurat w tym dniu zginył tyn Adaś. Było mi go żol, bo był serdecznym przijacielym i kolegóm szkolnym.

Opowiedziała

Aniela Kupcowa,

urodzona 5 kwietnia 1920 r.  
w Nydku i tam zamieszkała.

Opowiadanie zapisał Józef Ondrusz.

---

## O STASIU RUCKIM

---

Była tako oblawa na ludzi w Nydku i w Bystrzicy. Niymscy chodzili po tych dómach, gdzie jeszcze byli chłopci polski narodowości, i chcieli ich pozbiyrać do Oświyńcimia. I szli

po Rudolfa Niedobe, a prawie na placu chycili Stasia Ruckigo w pełnym uzbrojyniu partyzanckim. Ni móg się już cofnyć, ani iść dali. Jedynym ratunkym było użyć tej bró-

ni, co miał przy sobie. Prawdopodobnie ze względu na bezpieczeństwo tego domu, przy którym go chycili, nie użył broni i pozwolił się zabrać. Partyzanci czekali na niego, skoro wróci.

Siostra moja, która słoczyła tam w domu u znajomych, u krewnych tego Stasia, zalecała powiedzieć do Pilcha, że Stasia chycili. Tam u tego Pilcha ci partyzanci się schodzili. Nó i wszyscy obstąpili las, partyzanci zrobili takóme obstawę lasa, że jak Staś będzie musiał powiedzieć, gdzie sóm, że go mogóm zastrzelić, bo taka była umowa między nimi, żeby jak najmniej zdradził, że nejprowadzisz się pozwoli zlikwidować. Ale Staś się isto bół, że Niemcy przydóm na te kryjówek partyzantów, tak powiedział, że sóm w Strzelmeju, i w innóm stróne tych Niemców zaprowadził. Partyzanci na darmo czekali na nich, a Stasia potem związanego i ze związanymi oczami na aucie, powięzanego łańcuchami w słupka wzięli na ciężarowym aucie do Cieszyna na gestapo.

Na tego Stasia Ruckigo mieli już Niemcy downi baczenie, bo go po-

dejrzewali, że miał powięzania z tajną organizacją, która gdzieś koło Karwinej miała miejsce. Staś miał się na bacności i zdążył jeszcze uciyc na czas do lasu, jak prziszła po niego żandarmeria niemiecko. Nie posłali po niego gestapa, ale żandar mów niemieckich. Potym zdążył uciyc do lasu. W tym lesie był dość długo, całóm zime i lato w czterdziestym czwartym roku. Dwunastego czy czternastego lutego go powiesili w Nawsiu z czterema innymi ludźmi. To był tak dzielny człowiek, że jak go na te szubienice kludzili, to sóm podoł głowe do pyntli. Inni się brónili, bo tam zebrali wszystkich ludzi od pociągu. Jak przyjechał pociąg robotniczy, to wszystkich ludzi zegnali na to miejsce stracynia, aby oglądali to widowisko. I jedyn nasz sósniód opowiadał, że tam był, i że Staś Rucki sóm podoł głowe do pyntli.

Opowiedziała

Aniela Kupcowa,

urodzona 5 kwietnia 1920 r.

w Nydku i tam zamieszkała.

Opowiadanie zapisał Józef Ondrusz.

---

## O UCIECZCE ZE SZPONÓW GESTAPO

---

Przyszli do Nydku gestapowcy z ordnerami. Ci ordnerzy mieli swoich poufnych ludzi, którzy im podali wiadomości o czynności tutejszych ludzi, jakiego poglóndu sóm i jak się patrzóm na całóm niemieckóm sprawie. Stało się tak, że oni mieli w Nydku parę ludzi, co chodzili do Niemiec už za republiki i robili różne tajne taki domowy i sprawy podowali Niemcóm. Owszym, jak tu faszyści

niemiecy przyszli, tak už mieli wszystko gotowe, wiedzieli — tyn, tyn, tyn, tyn, tyn, a už ich zwoływali do tutejszej gospody, przeważnie takich patryjotów polskich ściągali i tam robili śledztwo. Przy tym śledztwie rozmajcie ich bili, kopali, i tak dali.

Tak się stowało, że my na przykład z huty przyszli po południu ze szychty, a musiało się zaraz pojeść a wio!, łopate nafasować, wio! do

Stożku kopać dziury na telefóny, bo oni potrzebowali do Stożku telefoniczne polónczyni, aby tam mógli ci jejich ordnerzi w tej szkole miyszkać. Oni już wtynczas mieli wiadomość, że tu już partyzanci egzystujóm. To strasznie sie ciągło. Oni, ci Niemcy, tu prziszli we wrześniu, nó a już w październiku, w listopadzie już tam naszybowali tych uniformowanych. To była tako miyszano pakaż, mieli tylko paski na rynkowach, ty czyrwóne z hakowym krziżym. Ci tam już wtynczas chodzili, oni tam potrzebowali telefon, tak my, przeważnie ci, kierzi mieli polskóm narodowość, kierzi byli bez Volkslisty, tak tych wszystkich zganiali ci ordnerzi, nó i musielimy tam chodzić ty dziury kopać na ty telefóny, na słupy telefoniczne. Później sie tam ciągła również woda do szkoły i też my musieli cały tyn wodociąg, ty przikopy kopać na tyn rurociąg, co je do szkoły.

W hucie trzynieckiej były organizowane tak zwane trójki. To były taki kómónistyczne ogniwa partyjne, nielegalne, które miyndzy sobóm sobie pómogaly. My płacili członkowski w markach, a pewne grupy to grómadziły, ty pinióndze sie ściagaly, to było dziesiynć czy piyntnaście marek miesiyncznie już od roku szterdziesiątego. To sie już organizowało, jak sie kóńczyła wojna nimiecko-polsko, bo sie widziało, że Niemcy nie bedóm tylko w Polsce, ale że pujdóm dali na wschód.

Jo sie jeszcze utrzymioł w hucie aż do września tyسیونć dziewiynćet szterdziesiąci trzi. Ruch oporu tu u nas na Czantoryji był organizowany już w roku szterdziesiątym. Dlaczego? Ponieważ, jak sie skóńczyła ta wojna nimiecko-polsko, to ludzie radzili — uciekejcie! nie dejcie sie zabrać Niemcóm, ale uciekejcie do domu, do la-

sów, z całóm brónióm! Tak tyn ruch oporu był u nas dość dobrze zorganizowany, tu z kómyndóm głównóm w Ustróniu. Brón bedymy potrzebować! Wojna nie beje tak łatwo, ta beje dlóżyj trwać, nó i tak moc ludzi co to posłóchło, i oficerów polski armiji, uciykło do domu. Przewyikli sie, prziniyśli cały ekwipónek, naboje, brón różnego kalibru, wszystko pochowali.

Późnij moc tych ludzi, co gestapo miało już na listach i chciało ich brać, moc ich uciykło i chowało sie. Owszym, wiele takich arestowali i wziyni do obozów, ale z tych, co uciykli, powstały późnij ty grupy partyzancki. Powstały już od roku tyسیونć dziewiynćet szterdziesiąci na jesiyń i dotrzymały aż do wyzwolynia.

Owszym w tych potyczkach różnych, w tych akcyjach, które prowadziły, ty różne dywersyjne, sabotażowe i sprawozdawcze, ty wszystkie rzeczy pómogaly tymu fróntu wschodnimu, ponieważ tu Niemcy byli zmuszyni czym jak nejwiyncyj ludzi na ty oddziały partyzancki organizować, aby je mógli niszczyć, nó a to czasym sie im podarziło, a czasym nó sie zaś podarziło.

Na tóz jo o tych partyzantach slyszół cosi, że tu sóm, ale tymczasym miolech jeszcze pokuj.

Było to prawie tego sztwortego września. Rucki Staś wtynczas uciyk, a przed nim uciyk jeszcze jedyn, Raszka. Oni mieli kóntakt z partyzantami, bo im już dowali chlyb i różne rzeczy z prowijantu. I tyn Staś jak go gestapo chciało chycić, uciyk też ku tej partyzantce. Wtynczas oni dochodzili w nocy po prowijant, a ktoś musioł tam być z okolicy, co to widzioł i tym gestapiorzóm to zdradził, i ci zrobili zasadzke na dworze tam u Raszki, U Szurmana tam

nazywali, nó i rano go tam baf!, tam go chycili. W tyn dziyń, co Staśka Ruckiego chycili, sztwortego września to było, już ci gestapiorze gónili za zakładnikami, za podejrzanymi przeciw nim. Tak był to miyndzy innymi kolega Śliź, ón był górnik, robił na szachcie, ón też miał jakómsi krótkóm brón, a tóm, myślým, doł Staśkowi. Był to i kolega Łamacz, hutnik, co robił w metalce w hucie trzyniecki, tyn doł tym partyzantów flobert, dubeltówke, kaj była i kula mimo tych dwóch brokowych luf. Jak gestapo szło po niego do dómu, tak uciyk ku partyzantom.

Tego sztwortego września dziewięćcet szterdzieści trzi, jak Stasia Ruckigo zawrzyli, robilech od połednia. Przidym na szychte do huty, normalnie w mechanicznych warsztatach odsztymplujým kóntrolke, i ledwoch odeszoł od godzin, zaroz ci dwo werkszuci mie chytli i hned mie odprowadzili do kómyndy tego werkszucu. Przidym tam, widzym, sakra, tam już było osiým ludzi. Byli też tam dwo uniformowani w tych zielónych uniformach, uzbrojóni, przinas, żodyn nie śmiół ze żodnym przemówić, i teraz, za chwile mie tam wołajóm, tam do kancelaryji. Był tam tyn jedyn szpekulant, też w tej zielónej uniformie. Miał cały stusek papiyrów i tak to przeciepuje. Musiolech mu przedłożyć te legimacyje hutniczóm, nó a teraz, jak sie dziwo na te legimacyje, tak naszoł to moji oskarżyni na tym papiyrze. A sztyry format to był. A jagech sie tak dziwoł, boch stoł jakich dwa metry od niego, toch jeszcze ty nazwiska potrafił przeczytać, jyny to oskarżyni było na nikierych papiyrach w jednym odstympie, na nikierych były dwa odstympy, trzi odstympy, sztyry odstympy. A teraz zostół stoć, dziwóm sie, akurat moja adresa, a

tam było sześć czy siedym tych odstympów. Tak se myślým — je źle! A był tam i podpis taki nieczytelny. Nó i tagech widzioł, że je źle!

Owszym, naszo nielegalno organizacyja tych trójek nó radziła: —Chłopi, nie dejcie sie arestować. jak tóż uciekać i szukać tych partyzanckich grup. Za każdóm cyne uciyc, bo cie abo na ucieczce zastrzelóm i nie bedziesz sie musioł tropić, abo jak cie łapném, tak do obozu, a tam už ni ma nadzieji, żeby sie gdo wrócił, bo sie dobrze wiedziało, jak to tam w tych obozach, w tym Oświyńcimiu wyglóndo.

Nó i tak jo też sadził na ostatnióm karte.

Tak po sztwortej godzinie po połedniu prziszła dalszo pakaż tych hitlerowców, a było ich sześć. Trzo byli w zielónych mundurach, dwo byli w czornych mundurach, a jedyn był cywil. A tyn cywil prziniós takóm hrubóm aktówke, z nij wyciągoł kajdany i wiazoł nimi prawóm rynke jednego, lewóm rynke drugiego, we dwójki. I zaś dalszóm dwójke, trzecióm dwójke, sztwortóm dwójke, a jo był dziewiónty. Tak jo miał własne kajdany na obie rynce.

Teraz nas wyprowadzili z tego budynku, gdzie ta straż była. Trzo szli w tych zielónych mundurach przed nami, uzbrojóni, a dwo ci czorni i jedyn tyn cywil szli za nami.

Tak nas prowadzili przez hute, kolo starej dyrekciji, przez sztalwerk, przez rewizyrke na most, to był taki niski most tu przy starym dworcu kolejowym, na dworzec trzyniecki. Jo szół ostatni, tóžech uwažoł w każdym mómyncie, jak my szli, gdižeby było możne tam w hucie skoczyć do jakisi dziury, abych móg uciyc i skryć sie, ale nie było możliwości. Ci za nami byli też uzbrojóni, tóż nie było taki możliwości, coby ni mógli strzy-

łać za mnóm. Nó i tak sie mi zdało, że jeszcze ostatni mómynt bedzie, jak nas dostanóm na dworzec abo jak nas bedóm ładować do pociągu. Tego mómyntu bedym chciól wużyć. Ale óni mieli i w tym praktyke, jako nas należycie strzec, aby żodyn nie uciyk.

I tak nas wpakowali do takigo pokojiku wedle kancelaryji dyżurnego ruchu w Trzyńcu. Z tej kancelaryji dyżurnego ruchu sie wychodziło do taki drzewiannej werandki, a potym dziepro na koleje. Ale w kierunku Cieszyna tam jeszcze były jedny drzwi, gdzie kónduktorzi swaczyli, gdzie słóžba kolejowo swaczyła. I tam nas wpakowali. Tam my stoli jedyn za drugim, a otwiyról tam ze środka tyn dyżurny, ponieważ z jego kancelaryje były drzwi do tego pokojiku, do tej swacznianie.

Jedyn tyn uzbrojóny tam zostol przy nas, przy dwiryżach stoł, które szły na koleje. Tak troche przywrzył ty drzwi, a stoł na tym proggu. Jo stoł ostatni. Wedle mie, zaroz po lewej strónie, jakośmy sie patrzyli na koleje, wedle mie zaroz były drzwi do kancelaryji dyżurnego ruchu. Tak sie stało, że my tam stoli jakich pół godziny. Za pół godziny, jakosi po pióntej po połedniu, dy to już było we wrześniu, to sie już koło szustej zaczęło ćmić. A to było prawie koło pół szustej, jak tyn pociąg od Jablónkowa nadjyżdżól w kierunku Cieszyna. Do tego pociągu nas mieli ładować.

Naraz widzialem przez okno, że ludzie z perónu sie garnióm na koleje ku tymu pociągu. Widzialem też, że ty drzwi, co sóm wedle mie, że nie sóm zamknijnte. Prawie, kiedy tyn pociąg nadjyżdżól, to tyn gestapowiec se wyszeł z tego pokoju, stanól se na próg, a ty drzwi tak troche za sobóm przywrzył. Jo w tym mómyncie skoczył przez ty drzwi do

pokoju tego dyżurnego ruchu. Tyn sie tam przeciw mie postawił — halt, halt, halt! zaczął krziczeć, a jo nic nie patrzył, bo ón był taki mały szpuntek jak sie prawi, tagech sturzył do niego, ón sie przewrócił, jo przez niego przeskoczył na te werande, zaroz na perón, a z perónu, kawalek zech leciól po perónie, a potym pomiyndzy ludzi na ty koleje, a prawie tyn pociąg nadjyżdżól na dworzec, a jo przeciw nimu tymi kolejami uciekoł do góry ku Jablónkoku.

Jeszczech liczył, gdyby przypadkowo mie gdo zwietrzył a leciól za mnóm, to by se ni móg pozwolić strzylać, bo tam byli ludzie. Nó i potym jeszcze zygzakym zech uciekoł, jakich sto, dwieście metrów to mógło być, do Lysznice.

Do Lyszniczech skoczył, a tyn potóczek tam je płytki, i tak zgyntych uciekoł do góry ku Lysznej. Mie żodyn nie widziól, jagech do tego potoka skoczył, bo tyn potok szól popod ty koleje do huty, ta Lysznicza, tak potymech uciekoł tym potokym, wodóm, a bylech rod, zech to tak zrobił, ponieważ psy, co za śladami idóm, już stracóm węch, ni mogóm śladu znalyźć, bo ta woda im już na to nie pozwoli. I tak zech uciyk aż ku Faszystowski Kolóniji do góry, gdzie dziś autobusy jeżdżóm na wyrch na Borek. Potym zech wyskoczył z tego potoka, miolech pełne bóty wody, przez takóm olszyne do kopca i w kierunku Jasiowych lómów. To było dobrze jakich dwa kilometry, jesi nie wiyncyj. Tam przez lóm zech przeszeł, zaś przez potóczek, jeszczech tym potóczkym też wodóm szól, póznij do takich krzoków zech sie wcis, miolech jeszcze taszke pod pażóm, co mi zóna dała jakisi jedziny na sychte, tagech siednól do chrosta, miolech cosi herbaty we fla-



szce, tagech też to wypił, cosi zjod, a na szczyńści zaczęło sie ćmić i deszcz padać. I tak żech se pomyślał — jedno zadani jużzech zrobił, to znaczy — nie dolech sie im spytać. Je żech wolny.

Ale teraz dalszo rzecz, bedym postympował ja ostrożnie, abych sie dożył powojynnych czasów. Nó i tak, jak sie zećmiło, puścilech sie polami przeważnie — czy zorane, czy niezorane, czy dziura, czy niedziura, widziolech tylko podle widnokręgu, że Czantoryja je tu na prawej stronie, na wschodzie, tagech sie przez Tul puścił, przez ty snozy, przez ty dziury prosto na wschód, ażech sie dostał na Podlesi, boch wiedziol, że do domu ni ma co iść, bo do domu tam z Trzyńca to je półdrugu godziny piechotóm. Tagech sie raczy puścił do tej Górno Lysznej. Dzisiaj to je w Polsce.

Priszedłem tam, było może tak pół dwanostej w nocy. Nó i burzym tam na okno. Była tam stodoła jakich trzidzieści metrów od chałupy, a za stodołóm tako gęstwina leśno smreków. Tam żech zaburził. Pani Pustówkowa mie puściła do kuchni i rozświyciła świyeczke. Jo prawiy — zawczasu zaciągacie okno, bo zacymnyni musiało być. I teraz widzi, że móm kajdany na rynkach. Nó i zaczęła bożować — losmiłowanio, co ci Nymczyska zaś dorobiałóm, prawi, tu kole chałupy pómału co drugi dziyń gónióm, kóntrolujóm chałupy, jesi tu kogo cudzego ni ma. Nó i pełno strachu. Jo prawiy: —Ciotka, nie se z tego nie róbcie, oto mi nejpiyrw pojeczecie jakigo pilniczka, co chłop piłki brusi.

Nó i tóż óna dała mi cosi zjeść, dała mi tyn pilniczek, a jo prawiy: —Teraz mie puście do stodoły!

Wtynczas, było to we wrześniu, stodoły były pełne słomy i siana. My-

ślym se, jo se tam cosi obierym, deske se ze zadku kańsi odbijym, bo z tej stodoły do gęstwiny było może jakich piyntnaście, dwadzieścia metrów nejdali. Sie mi zdało, że gdybych coś usłyszoł, jakisi ruch, tak tylko pras! do lasa i gotowe.

I tagech, to była noc, tagech tam zaszed do tej stodoły, tamech sie usadził w słómie, a byłech umotany, tagech hned usnył. Rano prziszła pani Pustówkowa, prziniósła mi cosi do zjedzynio, śniodani, późnij obiod, bo to było w sobote rano, nó i jo se chcioł uwolnić ty kajdany. Tak w jaki sposób?

Z poczóntku prubowolech to piłować. To był trójkóntny tyn pilniczek, jako sie piłki brusi. I prubowolech to piłować. Tyn zamek był z lociny, tak to szło, tyn pilnik sie tego chyćił. Ale tyn lańcuszek, to połónczyni miyndzy tymi dwiyrama ramkami było stalowe, to było hartowane, i tego sie pilnik nie chyćił, tych ogniwek. Tagech z poczóntku piłował tyn zamek, to były taki okrągłe odlote segmenty, które sie ścisakały, taki uzymbiyni tam było trapezowe na tym. Jak jo to ścisokoł, to to coroz barży zaskakowało i ściagało rękę. Mioł żech jeszcze dwa, trzi zymby do dyspozycyji, Jagech jedyn ścis, widzym — aha, dybych dali ścis, tak to mi jeszcze zaskoczy. Tam był taki zómb. Tak sie na to dziwóm, mniej wyncyj do połówki miolech przepiłowane, ale czym głymbi, tym szyrzóm dziurech musioł piłować. To by jeszcze ze dwa dni trwało, bo tyn ruch był jyny taki krótki. Późnij, to było po połedniu, zbilech tyn sztyl z pilnika, a tam był ostry szpic. A była tam jeszcze tako mało szparka wedle tej dziury, co tam włazował tyn zamek, taki tyn jynzyk, i tym szpicym żech prubował przichytować te sprężyne, która tyn sznaper naciska-

ła do tego uzymbiynio. I tagech jeszcze jedyn zómb ofiarowół, aż ta sprężyna na wyrch wyszła na tyn zómb. Tym szpicym zech te sprężyne przichycił i wycofoł, i odewrzilech cały tyn zamek. Tak samo zech to przeprowadził na drugi rynce i u-wolnilech sie z tych kajdan. Teraz wszystkie dokumynty zech wcis tam za krokwie, i ty kajdany też.

W niedziele dapołednia już tam był teś, ojciec moji zóny. Wiedzieli dóma, kaj mogym być. Jo prawiyim tymu tatowi: —Nie mówcie nic moji zónie, jyny że żyjym, aż ni mo obawy o mie, bo inaczy, gdyby wiedziała, to by jóm mógli torturować. Óna póznij, jakosi za sztyry czy piyńć dni też była aresztowano, gestapo jóm

wziyno aż do Wisły na śledztwo. Zóna o niczym nie wiedziała, a jeszcze była w ciąży w wysokim stanie. Powiedziała gestapiorzóm w tej Wiśle, że mąż sie wybroł do roboty a do dómu już nie wrócił, że óna nie wiy o niczym, kaj tam, co abo jak, i tóz jóm puścili.

Potym w listopadzie, dwudziestego pióntego listopada urodziła chłopca.

A jo już do kónca wojny zostół w lesie.

Opowiedział Jan Madzia,  
urodzony 6 listopada 1913 r.  
w Nydku,

zmarł 18 stycznia 1980 r.  
Opowiadanie napisał Józef Ondrusz.

---

## O PARTYZANCKIM ŻYWOBYCIU W LESIE

---

Pani Pustówkowa mi potym prawiła: — „Janku, pumogej se już jako możesz, ale tu u nas to je niebezpieczne, tu co dwa, co trzi dni gestapiorze gónióm i kóntrolujóm chalupe, ty auswajzy, ty dokumynty osobiste, a móglibyśmy wszyscy przigorzeć, a to bych nierada“.

Jo prawiyim: — „Dzięki, żeście mi tyle pumógła, a teraz se już bedym raził“.

I tak zech sie w niedziele po połedniu puścił do lasu. Bo takich nie-frekwentowanych miejsc toch tu znoł, ty stoki południowej Czantoryji, i tagech sie takimi miejscami puścił. Miołech w planie, że sie puszczym do dalszego kolegi, do Bajtka na Wojokowice. To był hawiyrz, robił w hawiyrni, a rano wezas, dycki o trzeci musioł stować i piechotóm do Bystrzice ku pociągu chodził. Nó i tózech sie puścił niby do tego Bajt-

ka. Jagech szel tak jakich pół godziny tymi gęstwinami, narozech u-widziół tu wedle gajowego Prokopa w Górno Lysznej, tam nad jego budynkym była gęstwina. Idym tóm gęstwinóm, potym był taki rzedszy las, naroz widzym, że jakosi grupka ludzi za takóm kympkóm zaległa i schowała sie mi. Jo teraz rozważóm, jeśliby to byli Niymcy, jako wojsko niymiecki, co tu oblawy i kóntrole robili po tych rozmaitych drogach leśnych, to to robili przeważnie we dnie. W nocy sie nie puścili, jedynie większóm grupóm, a byli w uniformach. A to był jedyn taki, drugi taki, tóz se myślým — iście to sóm jacyśi partyzanci, abo co szukajóm partyzantów. Zostołech stoć, za stróm zech sie schowół, obserwujym, ale potym, jagech uznoł, że to je zbyteczne, tagach szel prosto ku nim. Było to na odległość jakich pińdziesiónt metrów.

Tak idym wprost ku nim. Przidym na odległość takich dwadzieścia metrów, ci sie postawili na nogi i śmiejąm sie: — „Witej, Jano! Witej, Jano!“

Tak gdo to był? Piyrsze — był to Polok z Nydku, był tam Śliż, tyn górnik, który też w tyn dziyń, co jo, uciyk przed gestapym, był tam Łamacz, co wtedy uciyk, jak tego Staśka Ruckigo chycili na tym dworze u Raszków. Nó i prawióm: — „Witej, Jano, my už wiymy, żeś dychnył gestapu, żeś uciyk“. I teraz sie ich pytóm: — „Tóz co wy, kaj żeście sóm, jak żyjecie“ i tak dali. — „Na tóz — prawi — my sóm tu u grupy partyzancki, a kaj my sóm, to ci nie śmiymy powiedzieć, to je naszo tajymnica“. Tóz prawiym: — „Tóz przibiercie mie do partyje!“ A óni prawióm: — „Szumne, szumne, jyny musisz mieć broń jakómsi, jakisi plecak, musisz mieć jakisi celt, abyś sie móg przed deszczym chować. Nó a my tu jutro przidymy na to same miejsce i powiymy ci, czy cie bierymy, czy nie bierymy, bo my sie muszymy komendanta spytać“. — „Nó tóz dobre — prawiym — jo se zóndym do tego Bajtka, postaróm sie o cosi, to mi tam może tata cosi posle“, nó i tagech sie rozeszel z nimi. Tam żeśmy sie rozeszli, a jo za tyn czas tego dnia wieczór do tego Bajtka prziszed, znowu mu opowiedziól, co sie stało, a prosilech go, aby rano wczas, jak idzie na szychte, aby sie zastawił u mojigo ojca, bo ojciec mieszkoł we Strzelmej. — „Chciyj po nim, aby mi posłoł rewolwer, co miół schowany, coch wiedziól o nim“. To był jeszcze z piyrszej wojny światowej taki kanón bymbynkowy, aż mi poszle jaki płaszcz, jakisi celt, plecak i jakómsi deke. I że go bedym czakoł pod kamiynym na Zokamiyniu. Tam była

tako gęstwina, taki podrost bukowy tam był i cosi smreczków tam było. Pod kamiynym na Zokamiyniu my sie domówili. Tak jo tam czakoł hned na drugi dziyń, nó i tata tam prziszeł. Prziniós, co bylo trzeba, doł mi to i prawił: — Synku, byleś wojokym, ni miyj strachu, wojna potrwo tak jeszcze rok, dwa, ale i tak wiysz dobrze, że Rusi bijóm Niymców i że sie Niymcy cofajóm, tak brón sie, chrón sie, aby cie Niymcy nie zastrzelili.“ A jo prawił: — „Jo już tu móm pewnóm grupe, jużech jóm naszeł w Czantoryji“. Tóz jeszcze, jak sie prawi, poszczęścił mi, doł mi to wszystko i tak my sie rozeszli.

Jo tam jeszcze przenocowól jedyn wieczór u Bajtka. Potym wczas rano, jeszcze po ćmi, wyrukowołech na to miejsce, jako my byli domówióni.

Dy przidym tam, byli tam ci kóledzy znowu, i idymy do tej grupy partyzancki. Idymy tu ku Ustróniu wyncej, do takigo morowego kopca. A była tam tako gojka, a było tam ógrómnie moc kamiyni, takich grubych. Idymy tóm gojkóm tak może jakich pińdziesiónt metrów, prziszlimy na taki pas wyciynty, zaś tym pasym do góry, potym do prawa my sie troche wytoczyli, i czujym smród. Kónsek my zaszli, nó i tu widzym co? Dziura wymurowano, taki przidaszek troche, tu trzi czy sztyry celtty postawióne, a tam jedni w szach grali, jedni tam w karty ciyli pod smreczkami, jedni tam w tym buncrke, mieli tam trzi prycze, tak leżeli na tych pryczach, nó i cosi tam kuchcili, bo sie tam smyńdziło.

Ci kamraci mie tam przikłudzili, tyn kómyndant hned tam zwoól wszystkich do grómady, przedstawił mie, coch je za jedyn, żech uciyk gestapu, ale nie mówił, jak sie nazywóm, jyny żech je jedynym z kole-

gów tych a tych, pytał sie mie też hned, czy móm jaki dokumenty ze sobóm, a jo prawiy: — „Ni!“ — „Gdzieś ich doł?“ Jo prawiy: — „Tam a tam sóm schowane“. Tóz w porzóndku. — „Nas nie interesuje, jak sie nazywosz. Teraz prziszeleś tu do nas, tak myślisz z nami bojować razym?“ Jo prawiy: — „Ja!“ Tak hned była przisięga, że nic zdradzym tej grupy, że bedym bojował do ostatni kropki krwi, że bedym posłochół, że bedym karność, te dyscypliny żołnierskóm dotrzymywoł i tak dali. — „A mosz jakóm brón?“ — „Prziniós zech se“. — „Ukoż, co to mosz?“ Ci drudzy mieli już nowoczesnóm brón, krótkóm, ponikierzi mieli flinty, floberty, tóz sie śmioli i prawili: — „To mosz ale kanón! A moc mosz do tego naboji?“ Jo miol takóm żelaznóm szkatulke, a było tam piyntnaście czy osymnaście naboji. To była na dwadzieścia naboji ta szkatulka. — „Nó — prawi — a jak to wystrzylosz, co potym?“ Jo prawiy: — „Tóz cosi z tym wybojujym, a przy nejgorszym do rewolwera pasujóm ty gilzy z manlichera, tak to urnym, kónsek ołowia tam zaprawiy, a proch też jakosi zeżynym“ .— „Dobre, w porzóndku!“ I tóz śmiolech sie tymu, bo to było dwańoście milimetrów kaliber. To ni mo teraz żodyn. Jak z tego strzelił, tak to bekło jak z flinty. To miało strasznom síle.

Nó i tak hned, myślym, że to było w tyn dziyń, kómyndant nas zwoloł na akcyje: — „Potrzebujymy prowijant, bo, widzicie, tymu chybio, tymu chybio“. Prowijant se każdy nosił w plecaku. Nó i hned piyrszóm akcyj my mieli do Nierodzimia, czy tam kańsi. Szlimy w nocy gęsigo, cało partyja lasym, na kraj lasu, a tam już byli ludzie, co znali ty tereny, nó i szlimy do tego a do tego. To był

jakisi fojt, ortslajter, a miol po żydach moc nakradzionego materyjalu. Potrzebujymy mięsa, tak tam beje wszystkigo dość u takigo lacha, u takigo germana. Nó i tóz my szli.

Dwo szli na przodku, co nas prowadzili, co to znali, a ostatni gęsigo za nimi, porzóndnie zabezpieczyni, z brónióm przigotowanóm do strzału. W wypadku, żeby nas rozproszyli, to bedymy sie tu w tym miejscu musieli spotkać. I tak my szli. A co tam! Jako nowocyjan musiolech służbe straznom trzymać. Cały dóm, to całe gospodarstwo sie obsadziło, nó i ci tam zrobili rewizyje, wziyni to, co było trzeba, napakowalimy to do plecaków i z powroty! To były akcyje za prowijantym.

Były też akcyje demoralizujónce. To sie wpadło do lacha, takigo ortslajtra, bo to byli wszystko Niyemcy z Bawaryje, berliniocy i tak dali, co tu ty gospodarstwa obsadzali.

W szterdziestym sztwartym roku tu był desant rosyjski. Tu pod Kozubowóm był Gryniewski. Ta cało partyzantka musiała grać jak ta kómynda nakozała. Óni mieli dobróm słóžbe wywiadowczóm. To było tak zwane ugrupowani ustrónski, bo w Ustróniu była główno kómynda. Ta dyrygowała wszystkimi operacyjami tu w okolicy Czantoryji, zasięgała do Wisły, do okolic Szczyrku i do Brynej. Naszym kómyndantym był wtynczas Szrajber. To był powstaniec ślónski, oficyr, był kapitanym Wojska Polskigo do samej wojny. Potym uciyk Niyemcóm. Był to obywatel ustrónski, uciyk do dómu z całym uzbrojnym. Jako Górnosłonzok był też górnikiem, tak sie tu w Ustróniu za byłej Polski ożynił i postawił se dómek za Wisłóm, w takim kopcu, tóz miol do niego dobry przystymp z lasu, od Szczyrku z tej stróny. Jako oficyr musioł sie od samego po-

czóntku ukrywać. Gestapu sie ta je-  
go wilka podobała, tóz se to tam obra-  
li. Ón sie ukrywoł dóna. Zrobił se  
tam takóm stosownóm kryjówke a  
podslóchiwoł, co tam gestapo szpeku-  
luje. Ón teź był w kierownictwie te-  
go ugrupowania ustrónskiego ruchu  
oporu. Tam był cały szereg towarzy-  
szy, ostróžnych i dobrych fachowców  
wojskowych. I tam robili lóm.

Z jakich ludzi sie skłodała ta na-  
sza grupa? Kómyndant tam docho-  
dził, bo był domówiony z gajowym,  
kiery specjalnym szyfrym dowoł mu  
znać, czy tu je bezpiecznie, czy ni  
ma, a potym w nocy prziszed tu. Tu  
sie zawsze domowiało, jaki akcyje  
trzeba zrobić, aby to wszystko grało  
z ostatnimi akcyjami, aby sie nie  
zdradziło tego miejsca tu, aby sie ty  
akcyje nie prowadziło tu blisko, ale  
zawsze gdzieś dali. Tak jako lis, jak  
sie prawi, nigdy koło siebie nie po-  
luje, ale zawsze idzie polować dali.  
To teź praktykowali i my. Ty grupy  
z poczóntku spowały w salaszach na  
Małej Czantoryji. Jagech jo prziszel  
do grupy, to sie ta grupa skłodała  
mniej wyńcej na poły z nydczanów,  
a ta drugo połowa była z Ustrónia i  
z Wisły. My, nydczanie, zostali tu  
w lesie, a ci z Ustrónia i z Wisły po-  
szli zimować do swoich.

Ty partyzancki akcyje sie pro-  
wadziły aż do końca wojny. Nejgor-  
sze było prawie w tym piyrszym ro-  
ku, w roku szterdziestym trzecim, to  
było trzidziesatego listopada, kiedy  
Niyemcy zorganizowali silnóm oblawe  
a czyścili tu ty lasy od partyzanckich  
grup od Cisownicy na Małóm Czant-  
toryje i Wielkóm Czantoryje. Tymi  
lasami tyralijeróm szli i co sie po-  
jawiało, wszystko strzylali. Naszo gru-  
pa w tym czasie była w Ustróniu w  
jednej wilce, u takich margirowa-  
nych folksdojczów. Tam miała zimo-  
wać. My, nydczanie, my tu mieli dwa

bunkry, tak my mieli możność zi-  
mować tu w Czantoryji. Mielimy o-  
brane taki ciepliska i tak my liczyli,  
my, nydczanie, że ze szterdziestego  
trzecigo na szterdziesty sztwarty rok  
tu na Czantoryji przezimujemy. Ci  
zaś z Ustrónia i z Wisły liczyli, że  
tam majóm tych margirowanych  
folksdojczów i że tam we wili bedóm  
zimować.

Ale nie trwało to może jaki dwa  
tygodnie, jak my sie rozeszli, a tam  
juź ich ktoś wywęszył i zdradził. Ta  
wilka była przy lesie. Rano wczas ge-  
stapo otoczyło te wilke. I tóz hónym  
alarm i uciekać! Ci gestapiorze za-  
czynni po nich strzylać, jednego po-  
strzylali gdzieś po brzuchu, Wąs sie  
nazywoł, to był student, myślým,  
z Cieszyna. Ci partyzanci zaczynni  
sie ostrzeliwać i uciykli do gęstwiny.  
Tako wielko fujawica była. I tak  
tóm gęstwinóm uciykli tu ku Czant-  
toryji, a późnij na sóm wieczór  
priszli do bunkra ku nóm.

My mieli tyn bunkier trzi razy trzi  
razy dwa metry. Ty dwa metry to by-  
ła wysokość. A nas tam było, myślým,  
jedynoście. Na postrzodku był gnot.  
Przez dziyń sie trzymała straż. A by-  
ło tam strasznie moc wyrchowców  
z tych sztympli, bo tam sztympie ro-  
bili chłopci na jesiyn i zostały wyr-  
chy z tych smreków, už bez czetyny,  
i tak my ty wyrchowce dokoła na-  
stawiali. W postrzodku my tego stra-  
nego dzierzeli. Ón stoł na tym gno-  
cie i dycki sie móg pomiyndzy ty  
wyrchowce dziwać, bo to było w gra-  
pie. Miał przeglónd daleko na dól,  
a do góry teź dość daleko widziół.  
I jak co takigo, to sie stracił. A miol  
taki zamaskowany dekiel. Był za-  
maskowany mechym. Potym tyn wyr-  
chowiec jyny lepij przeciagnół a  
tyn dekiel za sobóm zawrził i było  
to dostatecznie zamaskowane. Przez  
ty wyrchowce tam żodyn nie szel,

bo widział, że tam sóm same wyrchowce, a tymczasem tam był wchód do partyzanckiego bunkra. Ci koledzy z Ustrónia i z Wisły prziszli do tego bunkra.

Tóz zaszła decyzja, że bydzie trzeba tyn bunkier rozszyrzić, bo już ni mieli po co sie wracać do Ustrónia. I tak zaczęli kopać drugi bunkier. My im trzymali straż. W nocy sie sztymple rzazało. A ci kopali. My im cosi pumógli, bo straż sie miyniły. Jak bunkier był wykopany, to sie w rogach postawiły trzi słupy, poza ty słupy sie dało sztymple i te gline sie tam sztopowało. Na wyrch my mieli przigotowane troche dachpapy. Jak sie miało robić wyrch, wszystko już było przigotowane, tu po połedniu naroz alarm. Tu sie Nymcy walóm tyralijeróm. Przibliżajóm sie prziskokami. Tu naroz wyszeł strzał we wyrch. Tam miół straż Badura, co miół brata w Górno Suchej. Tyn Badura z tego miejsca, gdzie był tym strażnym, przileciół do bunkra i prawil: — „Nymców wyincej sie przibliżo z boku“.

A był z nami Starzik, zastympca kómyndanta. Ón prawil: — „Oblykać sie prędko!“ My, co my robili straż, a miynili sie, tak my byli obleczóni i uzbroyóni, ale ci, co robili, ci byli obleczóni tylko do połu, w koszulach. Teraz sie musieli w tym małym miejscu hónym oblyc i było trzeba hónym brón chycić do ręki. Co był kiery gotowy, tóz hónym wyskakowół. Piyrszy z bunkra uciyk Klancznik ze Skoczowa, drugi uciyk Pieter, ostatnich uciyk jo z tego bunkra. Łamacz był na straży, tyn uciyk, bo Nymcy zaczęni piyrsze strzylać po nim.

Nejpiyrwej sie tu do nas dostół z północnego zachodu w tej grapie jedyn Nymiec i zaczęón krziczeć po niemiecku: — „Bunkr, bunkr!“ Tego my strzelili, przewrócił sie, ale musiół

dostać przez brzuch, bo broł granaty, co miół za cholewóm, a chyboł w kierunku bunkra. My wtynczas uciykli.

Potym myśmy sie wszyscy trzej — Klancznik, Pieter i jo — zesze nad tym bunkrym w odległości może jakich dwieście metrów, teraz my sie decydowali, że trzeba ich brónić, aby wszyscy mógli wyskoczyć. Nale, jak prziszliśmy na odległość jakich sto metrów od bunkra, tam była tako troche rowninka, patrzymy, a z dołu cisionóm sie Nymcy, a z prawej stróny i z górnej prawej stróny też. A tamtyn na zymy leżół a jeszcze krziczół. Tak wszyscy sie garnyli w tym kierunku. Koledzy z bunkra też zaczęni rzucać swojimi granatami. Teraz widzimy, że przibliżyć sie ku nim jest niemożliwe, boby nas Nymcy wystrzylali jak psy, tak zaczęliśmy uciekać w kierunku nejwiększej grapy. Uciekoł Klancznik piyrszy, jo za nim, a Pieter za mnóm. To był młody chłopiec, siedymnoście roków mu wtedy było. Naroz słyszym za sobóm strzylani. Dziwóm sie, a to Pieter strzylół po psach, kiere za nim doganiały. My po rękach uciekali do góry, a to kamiyni sie suło za nami, ale Pieter widziół, że za nim lecóm wilczoki, bo Nymcy psy puścili za nami, tak po tych wilczokach strzylół. Ale nie trefił żodnego, bo cóż też na odległość trzicet, sztyrycet metrów zrobi z krótki bróni! Jo mu prawiy: — „Józef, uciekej, jo móm flinte nabitóm!“ Bo my dycki chodzili z flintami, jo miół też flinte, szumnóm dubeltówke, a grube broki w ni. W jednym naboju było tych broków dziesiyńć, dwanaście. Jagech strzelil i na odległość sto metrów, to kiery dostół po głowie, tak był ciężko ranny. Flinta w tych czasach była dlo nas w lesie nejlepszo obróna. Tóz jo prawiy: — „Jozef, uciekej

do góry, a ja tu poczkóm na ty wilczoki!“ Ledwoch to powiedział, a ty dwa wilczoki były już na odległość jakich piyńdziadwacet metrów przede. Namierzilech — bek! po jednym, bek! po drugim. Kantnyły sie i już sie kulaly na dól. Tak my już byli swobodni od nich i normalnie my uciekali aż na turystycznóm droge na wyrch. Na Czantoryje my wyszli. Byli my trzej. Łamacz już tam nie prziszed.

My mieli zawsze domówione, że po rozproszyniu sie wszyscy zgrómadzimy, a jeśli by my sie nie zgrómadzili, to mómy iść do Pilcha na Dziol. To był jedyn hawiryz, tyn nóm zawsze bóty sprawowól, bo już był na emeryturze. Tyn Pilch mieszkoł na numerze sto szeździesiónt, był to szykowny, ofiarny chłop. Tyn wiedziól o wszystkim. Miół tam przy swoim domu taki chlyw i taki warsztat, a było to zaraz wedle lasu, wedle gęstwiny. Tam sie przychodziło kiedykolwiek wieczór, w nocy, tam bóty sprawowól. Ón wiedziól o wszystkim, tak u niego był taki ośrodek informacyjny. Jak sie stało cosi takigo, tak wszyscy szli tam. Ón wiedziól o wszystkich, tyn je tam, a tyn tam.

Wtynczas u tego Pilcha my sie rozszli, bo zima była na karku. Klanicznik szel do Wyndryni, Pieter miól wyincej miejsc, a ja szel z powrotym. Tak co teraz przez zime? Muszimy sie schować prywatnie, jako kiery bedzie miól możność. A na wiosne, jak sie wiosna odewrze, a w lesie bedóm dobre warunki życiowe, tak sie zbieremy znowu u Pilcha, a tam wszyscy sie zaś zorganizujemy na prziszły rok.

W tym bunkrze tam wtynczas padło sześciu, a siudmy, Śliż, objawiól jeszcze jakisi znaki zycio. To był silny chłop, hawiryz, tak ónego odwiyżli do szpitala do Trzyńca. Tam

go mieli opamiyntać, aby sie cosi od niego dowiedzieli, ale na szczęści był tam doktor Soroka, a ón miól z partyzantami jakisi kóntakty, i tyn już tak zarzóndził, że tego Śliża nie opamiyntali. Umarł i został pochowany na kierchowie w Kóński pod szpi-tolym. Tych sześć zastrzelónych przismyczyli tu do kaplice, tu zostali obrabowani o złote zymby, o pierściónki i tak dali. Byli pochowani nadzy. Brat Ruckigo musiół pomóc kopać grób tutejszemu groborzowi tyn postrzylanym partyzantom. Wszyscy sóm pochowani tu w Nydku.

A my trzej sie u Pilcha rozszli. Były ciężki czasy w te zime. Zimowalimy każdy prywatnie, rozmajcie, roz tu, roz tu, po stodołach. Zimowalimy aż kańsi do pół marca. Jo cosi u siostry, cosi u taty, cosi u Pietrosza w Bystrzicy, bo my kjejsi robowali w hucie.

Na drugi rok my sie zeszli i zaś my obsadzili ty południowe stoki Czantoryje. W bunkrze my już nie siedzieli, bo jak były deszcze to była możność sie wyspać pod sarnióm budóm. Napadalimy na polnóm żandarmeryje, co też chodzili na wyrch na Czantoryje. To sie ich wysłedziło i baf! ich. Brało sie im uniformy i całe uzbrojyni, a potym sie ich w gaciach posyłało do chalupy. Na drugi dziyń potym była oblawa, ale my już byli zaś w trapu, w kierunku Stożka my przeszli. To już tak było organizowane. Kómynda nas zawsze upozorniła, że bydzie oblawa, tak my sie zawsze uchylili na inszy teren, a po sztyróch, piyńciu dniach zaś my wracali na Czantoryje.

Tak sie to ciąгло przez cały szterdziesty sztworty rok. Potym już było słyszeć kanóny za Czantoryjóm. W nocy to my czasym wychodzili na szczyt Czantoryji i dziwali sie, jak ty reflektory szukajóm samolotów po

niebie. Ty kanóny było już słyszeć za Biylskym. To było radości, ale było jeszcze trzeba wytrzymać. Cały tyn rok my wytrzymali dość szczęśliwie.

Rozdzieliliśmy się na małe grupki. W jednej byli trzej, czterej, maksymalnie piątka ludzi. Jedna grupa była w tym terenie, drugo w tym terenie. Co drugi dzień były wysyłane łączniki, co nowego, czy się prowadzi jakie akcje. Jak się jako większo akcja robiła, to my się gromadzili w domówionym miejscu. Było nas zawsze takich dwanaście, piątnaście albo osiemnaście ludzi, bo tych grup my tu mieli dość.

W roku szterdzieści sztyry na szterdzieści piątka to przezimowani było już lepsze, bo i ta organizacja była lepszo. Była większo możność przechowywać wyczniej ludzi czy tu w Bystrzicy, czy w Ustróniu, czy w Cisownicy. W jednym bunkrze się tak gromadnie już nie zimowało, bo w wypadku jakigosi napadu były potom wielki straty.

W Ustróniu wtynczas nasi zastrzelili trzech czy sztyrów gestapowców. Potym tam Niemcy robili dziesiótkowani. Trzidzieści sześć ludzi tam zastrzelili. Zegnali tam cosi przez trzysta ludzi, a co dziesiótego za-

strzelili. Tam był wielki popłoch. Dobrze fungowała nasza służba sprawodawczo, robiło się też różne akcje sabotażowe na kolejach, na wysokim napięciu. To się wysadziło słup na zakryńcie. Taki drobne sabotaże też były dobre.

Łączność pomiędzy grupami prowadziło się przeważnie w niemieckich uniformach. Łącznik oblyk niemieckóm uniforme i szel. Było tam wtynczas różnej kumedyje! Jak szel łącznik w tej uniformie, to mu hajlowali, a hned: — „Panie wachmajster, wycie co, bezmali tam cosi w nocy chodziło, tam iście partyzanci chodźóm!“ Potym nasi takigo wypłacili i tak mu dorzli logami, że było z tego wielki halo. Potym już tacy gorliwi mieli gymby zamazane, bo nie wiedzieli, z kim mająm do czyninio.

To były takie akcje. Dałoby się jeszcze o nich mówić godzinami a godzinami.

W szterdziestym pióntym roku dożyliśmy się szczęśliwie końca wojny.

Opowiedział Jan Madzia,  
urodzony 6 listopada 1913 r.  
w Nydku,

zmarł 18 stycznia 1980 r.  
Opowiadanie zapisał Józef Ondrusz.

---

## O STRASZNYCH CZASACH

---

Było to we wrześniu w sztyrasztyrycym roku. Prowie my kopali wczasnie zimioki, rużówki, ty modre. To nóm wtedy mówiła jedna baba, że nas zawrźóm, że przidóm po nas. I było to patnostego września, jak przyszłi o pióntej rano. Spalimy, a óni burzili na dwiryze i ze spanio nas

zebrali. Było ich dziewińć, sami gestapowcy, szantarzi. A jak trzaskali! Walili na dwiryze, że się zdało, że ty dwiryze wylecóm.

Milka leciała się pytać do siyni, gdo tam je. Óni wrzeszczeli po niemiecku, aż otwiryro ty dwiryze. Jak ty dwiryze odewrzyła, tak się pyta-



li, jesi je bandyta Chlebowy dóma. Janek, borok, hónym sie oblykoł. Eszzech mu prawała: — Stowej hónym, bo prziszi po nas. Potym musioł dać rynce do góry i prawili mu, że zaś majóm jednego polskigo bandyte. Wszyndzi przekopali i pytali sie, kaj mo te brón, co chodzi z partyzantami, dy było tak na nas udane. Potym nóm kozali wszystkim iść. Na polu Janka obalili na zym i zwióznali mu rynce na zadku porwozym. Na tej ziymi leżoł dlógo. Jak wszyndzi po górze, kaj jyny pokopali, tak nas zebrali i szlimy na posterunek na Żuków. Janek musioł iść zwióznany naprzód, a my za nim. Na posterunku my na chwile czekali. Cosi tam spisowali. Potym tósz przjechało auto z Cieszyna z Gestapo, zebrali nas wszystkich, wiela nas tu dóma było: Janka, mie, Milke, Zoške i Józka. Zawiyźli nas na Wyszióm Bróne do haresztu. Tam nóm pozodbiyrali wszystko, co my mieli. Zygarki, pierściónki, wszystko zebrali. Zoška miała wtedy dwanost roków, tóż jóm z tego Cieszyna puścili do dómu zaroz w tyn dziyń.

Janek, jo a Józek siedzielimy w Cieszynie trzi tydzie, a Milka piyńc miesiyncy. Potym Janka i mie odwyźli do Mysłowic, a Józka puścili do chałupy. W Cieszynie my sie cały czas nie widzieli, ale do tych Mysłowic my jechali w jednym aucie. Jeszcze mi pómóg wyłyżć na auto i prawil mi: — Wylazuj, boroczku, dobrze, że cie jeszcze widzimy, może to już je ostatni roz. Przijechalimy do Mysłowic. Było nas pełne auto. Mie dali osobno, a Janka też osobno. W tych Mysłowic zaśech była ze trzi tydzie, albo z miesiõnc. Potym mie brali na transport, a Janek tam jeszcze zustoł. Joch odjechała do Rawynzbriku. W Rawynzbrikuch tam była jedynost dni, a potym nas zaś

transportowali do Brandynburgu, a tamech była aż do końca kwietnia.

W Brandynburgu my nejprzód byli pod wojuńskim kómandym. Tak ze dwa tydzie tego było. Tam my odkopowali popraskane ruły, bo tam był zbómbardowany wodociõng. Potym nas brali zakopować dziury po bómbach, taki wielki jak chałupa, ogrómnie glymboki i wielki! Zakopowalimy to aż do Nowego Roku, powiył nie zamarzowało. Jeść, to nóm tam dowali nieplókane kwaki zakłócõne trzytymi surowymi zimiokami, albo jak tóż była kapusta, tako szpatno, zgniło, z pioskym, zakłócõno takóm samóm surowóm trzycielinóm. Nikiedy też uwarzili nieszkrobanych zimioków we wodzie, zakłócili to zaś surowymi zimiokami, że to była jakoby zimioczõnka.

To żrani było taki, żeby go ani świnie nie chciały. W lutym my zaczęli kopać okopy. Joch už była taki chudy szkielec. Jak prziszoł wiater, to mnie schynół do okopu, dych sie ni móglã ani na nogach udzierzeć, coch była tako słabo. Rano, były trzi godziny, to nas zganiali na plac na apel, czy padało, czy ni, w tych drzewiannych cuklach. I to my tak stoli od trzeci rana do szustej, spać nóm nie dali, a jeszcze ku tymu nas bili kijami po głowach, aż skure przebijali. A po szustej my szli na ty okopy. Potym jakosi dostałach sie do lagru, boch miała chorobe, jakisi tyfus brzuszny. Tam w lagrze mie lyczylu kminym i oszkrobanyimi, popuczõnymi ale jałowymi zimiokami, że z tego ozdrowiył. Sy mie już wiela ni mieli, boch robić ni móglã, tak mie napisali do pieca do Rawynzbriku. Jyny jakosi sie to odcióngało, zech zustala w lagrze. Fróna sie coraz barży przibliżala, trzepało barakami, nó i roz przijechały po nas auta. Brali nas na ty auta i odwożali ku mo-

rzu. Tam już gónili kole nas, dowali nóm ciepłe kakao i suchary. To był Czyrwióny Krziż. Przi tym morzu my byli dwa dni, cały obóz! Potym nóm prawili, że pojedymy do Szwecyje.

Jak my jechali okryntym po morzu, to my naroz zostali stoć, bo tam były jakisi miny. Musielimy ty miny objechać, i tak my szczyńśliwie zajechali do tej Szwecyje. Zaroz na okryncie my dostali paczki. Jak my przijechali do portu, tak już tam na nas czekały auta. Joch ni móglá chodźić, tak mie tyn jedyn Szwed wzión na rynce jak małe dziecko i zaniós do auta. Potym nas wszystkich woźyli. Woźylach tak obleczóno piyńdziatrzicet kilo, a niź mie zawrzyli, toch woźyla niewiela miyni jak teraz, a teraz woźym sjędymdziesiónt osiyem kilo. To nas tak wszystkich w tym lagrze dorobili. Ci Szwedzi nas zawiźli do kómpieli, posewlykali mi ty... ty nimiecki wszy i ty nimiecki brudy. Juj, jak se spómniym o tych wszach, to mie jeszcze teraz cało skura świyrbi, bo to były wszy jak biedróny! Położyli mie na takóm szyroków ławe, puścili sitko i loli wodę pó mnie, mydlili i kartaczowali. Ale też to było dobrze! A jak mie myli, toch im jeszcze sama pómogála, aby jyny prziciśli, bo to było tak dobrze. Dyc ta moja skura była wszami ogryzióno, że strach. Jak mie wykómpali, to mie wyoblykali do biólego prodła, nó i wziyni potym na nosze i zaniysli na taki pawilón, na lóžko. A tam zaroz Szwedki gónily z bómbónami, z czekuladóm, a podziylały nas tam wszystkich, kierzi my tam byli. Potym nas wziyni do auta i do szpitola. Leżałach se w biółym lóžku, pod watowanóm deków, to sie mi zdało, żech sie dostała z piekła do nieba. Tamech była pore dni. Potym zaś nas wziyni do dru-

gigo szpitola. I zaś nas lyczli. Jak sie potym dostała do trzecigo szpitola, toch tam była tak dlógo, aż mie wyliczyli. Byłach tam od maja do lipca. Z tego szpitola nas potym zawiźli na letnisko, na dziedzine. Byłach przi wodzie i przi lesie. Tam-żech już była do kónca, aż my już odjyždźali do dómu.

W tej Szwecyje mielimy sie bardzo dobrze. Jeszcze w tym szpitolu jak my byli, to nas odwiedzali ci Szwedzi, szwedzki chóry nóm tam chodźily śpiwać pod okna. Ogrómnne dobry noród sóm ci Szwedzi! Jak my wyzdrowieli, to nas potym woźili autobusami na wycieczki. Tam nas gościli.

Tam we Szwecyje złodzieji ni ma. Roz my przijechali na sztacyón. Leżała tam na ławce taszka z pinióndzami. Kierysi se jóm tam zapómniól. Jedna z naszych chciała se jóm wzióńść, ale kierosi Szwedka, co była z nami, prawila, żeby jóm tam niechała. Dy tam leży, tak tam mo zastać. Tam złodzieji ni ma. Choćby na ceście leżało złoto, tak sie go żodyn nie tchnie. Idzie se baji Szwedka kupić cosi do miasta, a naroz, jak už idzie do dómu, se cosi na ceście spómni, że jeszcze cosi zapómniała kupić w mieście, to taszki postawi tak na kraju cesty, aby to nie zawadzało, i idzie do tego miasta. A jak idzie spatki, to ty taszki tam stojóm, jako ich odeszła.

Jak my jechali do dómu okryntym, to my mieli wiesioło i muzyka nóm grała. Szwedzi nas jeszcze wszystkie wyańcowali. We Szwecyje my każdy dostali dziesiyńcikalowy paczek żywnościowy. Było tam liter oliwy jadalnej, szpyrka, sardynki, suszone mlyko, ryża, mónka, herbata, zorkowo kawa, szykownie rodzynek, bómbóny. Dziesiyńć kilo, to tego było

szumnie! Przejechaliśmy do Gdyni. Tam nam dali papiery, abymy się mogli wszyscy legitymować, skónd jady. Potymech jechała cugym przez Bydgoszcz i Katowice do Dziedzic. Tamech w jednej chałupie zanocowała, a rano ci ludzie odwizyli ty moji paki — boch miała dwie walizy i tyn paczek żywnościowy — aż na ceste. Tam mi mówili, że do Cieszyna pojedóm fórmani i że mie przibieróm. Jechało do Cieszyna rosyjski auto wojskowe. Tyn szofer mie przibroł i zawióz aż na rynek do Cieszyna. Tam mi zaś pómógła jedna paniczka z dzieciyncnym wózkym. Na granicy mi prawili, że móm jechać spatki do Katowic i wyrobić se papiiry, że mie nie puszcóm na tyn papiyr, kierymy dostali w Gdyni. Joch im prawila, żech je utropióno, aż mie przeca nie posyłajóm spatki, dych je przeca tutejszo. Tósz porozmyślali, porozmyślali, nabrali se tych mojih kónzerw na norónczko, i puścili mie na czeskóm stróne. Tam mie zaś nie chcieli puścić dali do domu. Ale był tam jedyn szantar, co był kiejsi w Żukowie, tyn sie mie wszystko wypytoł, gdo w Żukowie kaj mieszko, jak sie nazywajóm mo-

ji sómsiedzi, a że to wszystko pasowało, tóż mie puścili.

Paczki se zastawiła w Cieszynie i szlach do domu. Prowie sie sioly rży i pszynice. Z dalekach widziála, że na naszym polu sieje chłop. Myślalach se: — Jej, to już je Janek dóma, bo tam sieje. Ale przidym bliży, a dyć to ni ma ani Janek, ani mój brat z Darkowa, jyny sómsiod Kozieł. Janek już borok nie prziszól do chałupy. Tam go kańsi hitlerowcy zakatowali. Tóż Milka z krowami przejechała na kóniec zogóna, nawróciła i dała krowóm spoczność. Krowy sie na mie obezdrzyły, a nejbarży sie na mie dziwała ta jedna, Piwónia. Jo ji prawim: — Na, Piwónia, tyś mie poznała! Dziepro mie teraz Milka poznała po głosie, zwyrt sie, ryp! biczyskym, ścisko mie, chyto kole karku i całuje. Przidym do domu, a tam mie od radości wszyscy ściszkajóm i płaczóm. Ja, ja, przeżyłach straszne czasy!

Tekst z Żukowa Górnego-Kotów.

Opowiedziála Zofia Chlebowa, urodzona 11 lutego 1895 w Darkowie, zmarła 3 stycznia 1980 r.

Opowiadanie zapisał Józef Ondrusz.

---

## O ZBRODNI HITLEROWSKIEJ W ŁÓMNEJ DOLNEJ

---

Na Niżni Łómnej był jedyn dwójkorcz, co był w landwasze. Ze wtorku na strzodym potkoł niży Matysinej Łónki partyzanta. I tam go wedla cesty zastrzelił. Potym wszecko z niego sebylk: szaty, kozuch i godzinki. Wszecko to wzión do domu. I na tym miejscu, tak kójszczek łod tego miejsca, co go zastrzelił, tam go pochował. Z drugi stróny z grónia sie

mu dziwali partyzanci, co z nim robi. Potym jedyn z nich szel za nim, kany idzie. A łón szel do swoji chałupy. We strzodym wieczór prziszli do niego partyzanci tam do jego domu. Musiól jim wszecko łoddać, ty szaty, buty, godzinki. Potym tej jego babie kozali iść precz do drugi izby, a łónego w tej kuchyni zastrzelili i poszli.

Niymcy mu zrobili pogrzyb z całóm paradóm. A na pogrzyb musieli iść aji kierzisi Polocy.

Jeszcze we sztwortek wieczór prziszli do nas dwo gestapowcy z trupimi głowami na czopkach. Czakali na naszigo Lojzka. To był nasz starszy syn, miał dewatności roków. Robił w Koszarziskach w lesie. Jak szel do dómu, to mu mówili ludzie, że na niego dóma czakajóm gestapowcy. A lón jeszcze jim powiedział: — „Dyć zech żodnymu nic nie zrobił, tak sie też nie bojim żodnego“. Dy prziszel do dómu, tak mu powiedzieli ci gestapowcy, że pójdzie z nimi dołu do gminy. Kozali mu, aż se jeszcze pojy. Tóz se Lojzek wziól cosika chleba ji szel se do drugi izby łoblyc. Miał czas luciyc, bo nie szli za nim, ale nie czuł sie w niczim winny, tóz nie luciekoł. Potym prziszel z izby: — „Tóz pojmy!“ Pytól sie jich jeszcze, czy przidzie nazóc, czy ni, dy sie w robocie nie łodgłosił. Ale mu powiedzieli, że ja, że przidzie. Tak jim prawil: — „Tóz pojmy!“

I tóz szli. Dy łodeszli kójsek łod dómu, tak go spiynti i kludzili do gminy. Tam go zawrzili do piwnice. Czy go tam bili, tego nie wiynt, nie dowiedzielimy sie łod żodnego. W tej piwnicy był też zawrzity Szkandera Pawel z Niżni Lómnej.

W pióntek rano zebrali jich z tej piwnice na auto ji łodwiyżli do Jablónkowa do haresztu.

Młodszy nasz, Janek, slóził na Kiczercze łu Kluza na Koszarziskach. Miał siedymności roków. Iónego wziynti gestapowcy w pióntek rano też do Jablónkowa do haresztu.

Pogrzyb tego dwójkorza był w niedzielym. Mój tam na tym pogrzebie był, dy też Polocy musieli iść. Tam sie dowiedziól, że nasz synowie sóm w hareszcie w Jablónkowie.

Po pogrzebie mój poszel ku haresztu, dy tyn pogrzyb był w Jablónkowie. I tam przez łokno sie widziól z Lojzkym. Lojzek powiedziól mojemu, że w hareszcie też je Janek. Pytól sie go, czy majóm głód. — „O, mómy, mómy! Dy my dostali trochym czarnej kawy!“ Tak mu łociec powiedziól, że przidzie jutro rano i że jim prziniesie cosika zjeść.

W pyńdzialek rano sie potym mój zebroł, wziól jim chleba i szel do tego haresztu. Ión szel trochym naprzód, a joch za nim.

W Zatoce nad zieleźnym mostym widziól na ceście trzi kałuże taki zesiadanej krwi. Ale se nie pomysłól, żeby tam jego dziecka były zastrzelóné. A jo idym i też tóm krew widzím. Szła też siostra tego Szkandery, co go też zastrzelili, i Lojzka Kohótowo. Ta Lojzka nie chciała iść po tej ceście, dy tam była ta krew, tak łobleciała bokym i prawila, że tam je tak pokopane, że isto tam bedzie pochowany jakisi zastrzelóny, dy tej krwi bylo tela na ceście. Ale joch se ani nie pomysłala, żeby tam moji dziecka były. Dyćbych tam isto zaroz padła mortwo.

Dy my prziszli do Jablónkowa, tóz my szli wszecy do tego haresztu. Tam wyszła tego dozorczy baba i prawila, że wieczór z haresztu brali trzóch. Tóz my sie pytali, kogo brali. Dowiedzielimy sie, że naszigo Lojzka, Janka i tego Szkanderym, a że jich gnali na Lómnom.

Wtedy w tóm niedzielym wieczór szli robotnicy z Trzyńca z roboty, tak sie dziwali za tymi gestapowcami, kany tych naszich synów pożyntóm. Ci gestapowcy jich strasznie wszeckich trzóch bili. Tak strasznie jich bili, że kierzisi z nich wołól: — „Niebo, przikryj mie! Ziyntio, pochłón mie!“ A potym jich zaś gnali do góry. Tam potym w kraju lasa,

nazywajóm to tam Do Rownin, tam se musieli sami grób wykopać. A ci robotnicy dowali pozór. Potym wszec-kim trzóm kozali postować na ceście i postrzylali jich.

Jak jich postrzylali, tak tam byli wojocy, nazywali jich totkami, tak jich ci wojocy smykali do tego wykopanego grobu. Nasi synowie byli na spodku, a Szkandera był na wyrchu. Zaczyni jich zasypać. A tyn Szkandera wołól: — „Nie zasypejcie mie, dy jo jeszcze żyjym!“ Tak jeszcze dwa strzały puścili do niego. Potym jich zasuli.

Po wojnie potym prziszło do gminy, że gdo chce se wykopać swoich zastrzelónych i pochować na cmyntarzu, że może. Tagechmy se to wyrobili, potym my se napytali dwóch chłopów, a Szkandera jednego, jich szlimy. Prziwiyżlimy trówły. Odkopali tyn grób, dostali po jednym na

deskym. Zawijalimy jich do biółych płachet jich dowali do trówel. Potym zaroz ło jedynostej był pogrzyb. Trzi trówły były. A ludzi! IOgrómne dziwy ludzi było na tym pogrzebie. Dy jich wszecy ludzie znali, że byli porzóndni syncy, dobrzi. Tak mie żol łogarbuje za nimi... Potym po pogrzebie gmina na tym miejscu postawiła pómnik. Pod pómnik dali do taki szklónki łopis całego tego wypadku, co byli za jedni, kim byli, że byli Polokami, za co zginyli. Aby po wiekach ludzie wiedzieli, dy tam bedóm kopać, co to za pómnik.

Opowiedziała  
Maria Ciecioletka,  
urodzona 2 marca 1890 r. w Bukowcu  
przez kilkadziesiąt lat zamieszkała  
w Łonnej Dolnej-Kamienitym,  
zmarła dnia 10 kwietnia 1965 r.  
Opowiadanie zapisał Józef Ondrusz.

---

## NIEMCY WYWOZILI ROLNIKÓW

---

Siedlocy w Lutyni, w Dziećmorowicach, kierzi mieli narodowość polskóm, mieli być wywiezióni. Przed tym już wywiózli Stónawym. Jechali tu przez Lutyń do obozu w Gorzycach za Olzóm, za Wierzniowicami. Wywozili ze Skrzeczónia, i jedyn roz, było to w zimie, przisli do Dziećmorowic. W Dziećmorowicach tam było porym siedloków Polaków, kierzi ni mieli folkslisty i byli wywłaszczóni, tak ich potrzebowali wywiyżć, aby tam posadzić tych Nymców z Besarabije, Besarabów — jak my im tu mówili. Mieli być wywiezióni siedlocy Halfar, Wilczek, Woźnica. Tóz przisli tam do tego Halfara. Przi-szoł tam tyn nimiecki kómisarz, był

to nimiecki lajtnant, i cało kupa tych Besarabów, kierzi tam mieli być na tym gróńcie Halfarów osiedlóni. A óni to robili dycki tak: Przisła ich cało kupa, prziszól tyn, co tam miol być tyn siedlok, tyn Besaraba, a z nim przisła cało banda tych drugich, bo obyczejnie, jak objyni to gospodarstwo, tak wszystkie kury pozabijali, a robili takóm gościny.

Tak prziszól tyn lajtnant i mówi: — „No, her Halfar, pojedziecie do Frysztota!“ Bo ich zbiryali we Frysztocie, a z Frysztota ich dziepro odwożali do Nymiec. — „Pojedziecie do Frysztota, tak weźcie se na wóz, oto do pół godziny, co nejpotrzebniejszego, a pojedziecie tam. Ale jo wóm

jeszcze cosik rzeknym: – Wy macie piękne kónie, piękne kónie macie, podziwejcie sie, tu oto przidzie taki tyn – po naszymu mówił tyn lajtnant – tu oto przidóm tacy ci, co ani tym kóniom moc nie rozumióm, óni wóm ty kónie zaniszczóm. Dybyście sie tak, panie Halfar, zgodził, to jo by tam zatelefonował do Cieszyna, że weźnicie folkslistym, a móglibyście tu zastać, nie musielibyście iść.“ Halfar zacznón wszelijako rozważować. Było dwóch synków, a to nie jyny żeby ón wzión tóm folkslistym, ale za ojcem idóm synowie, a synowie musieliby na wojnym, tóż niszczyć im życie i wszystko!? Nó i zacznón dumać, rozważać, a tu ta jego babka, staro Halfarka powiedziała: – „Francek, żodne drzisty, nie bierymy żodnej folkslisty! Zaprzągej, a jadymy!“ Francek, jak uslyszól taki zdecydowane słowo, nie rozważował wiela, zaprzągnól kónie, Halfarka ciepnyła

na wóz jakisi ty pierziny, jakisi ty nejpotrzebniejsze ździórba, kiere mógli ze se bóm wzióńś, chynyli na wóz i pojechali do Frysztota.

Tamstela byli wywiezióni do Poznaniańskiego, tam, kaj w sztyrydziestym pióntym roku już frónt sie zbliżól. Tak miesiónc przed kónnym wojny jeszcze prziszli tu do Lutynie, do swoich strón, a Besarabów już tu nie było, bo już uciykli, ale Nymcy tu jeszcze byli. A ci szantarzi, co wtedy tak tu na nich hysiali, co im wszystko spisowali a tak ich kiwali, tak zaccli im potym pod kóniec przydrzistować, przichlybiać sie. Nale, chwała Bogu, że prziszli zdrowi i że prziszli na swoji!

Opowiedział

Rudolf O c h m a n ,

nadsztygar, urodzony 5 stycznia

1904 r. w Lutyni Górnej,

zmarł 20 grudnia 1981 r.

w Lutyni Dolnej.

Opowiadanie zapisał Józef Ondrusz.

---

## ROBILECH NA KOLEI

---

Jak prziszła drugo wojna, toch szól robić do Wolfa, bo mie Nymcy na szachcie nie niechali. Od tej firmy mie dali robić na sztrekach taki roboty, dy wiedzieli, żech był przy wojsku u żynistów. Robilech na koleji w Boguminie. Nymcy mie z Raja wysiedlili z całóm rodzinóm. To my mieszkali w Darkowie przy Farskim Lesie w takim żydowskim domu. Tam jeszcze stojóm ty dómy. Potym sie mścili na nas ci hitlerowcy, jako na Polokach, dziólche mi zebrali do kón-cyntraku, a syn był wywiezióny na roboty do Hajderberku.

Przi tej koleji to my sztreki sprawowali, mosty też. Jak w tym Bo-

guminie był nalot, to było straszne. Przijechali bómbordować tak ku połedniu, przed dwanostóm godzinóm. Przijechali od Wiydnia, potym tak jakosi od Gruszowa zatoczyli nad Bogumin. Prawie jechoł cug z Przerowa do Krakowa, cywile jechali, tak tyn cug puścili. A na sztacyjónie stól cug z wojskym. Tak przijechoł tyn sznelcug z cywilami, a za nim miól jechać tyn z wojskym. A tu naroz tyn nalot prziszól. Przijechali od Gruszowa i zacyni już tam suć. Tak przijechoł eroplan i puścił bómbe na magacyn w Boguminie. A przi tym magacynie stól cug z wojskym. Magacyn sie rozleciól, cug ni móg wy-

jechać, tak ci wojocy wszyscy uciekali po sztacyjónie, a ci z wyrchu zaczęni po tym sztacyjónie trzaskać. A na jednym glajzie tam stoły cysterne z byndzynóm, na drugim były wagóny z pociskami do artyleryje, na trzecim też wagóny, a na nich ruda abo cosi tam. Ci wojocy uciekali pod ty wagóny, tam sie pod nimi kryli. Tóz jak z wyrchu zaczęli suć na tyn sztacyjón, to cysterne goraly, mónicja eksplodowała, a wojocy byli pod tymi wagónami. Kaj byli, tam sie spolili. Cały cug wojska sie spolil. Mało kiery uciyk.

W jednym dómu na bogumińskim sztacyjónie mieszkoł jakisi szef karwińskiego sztacyjónu. Jak ty bómbowce przijechały przed połedniem i zaczęły suć, to ón, tyn chłop prawil swoji żonie: — „Ty tu worz, a jo sie tam pujdym podziwać, co tam kaj je“. I ón szoł tam na tyn sztacyjón sie podziwać, kañsi tam był na boku. Do tego dómu, kaj mieszkoł, tam trefiła bómba. Tak sie tyn dóm rozleciol, a óna sie straciła. Zabiło jóm i roztrzepało. Potym my z nim mówili, a ón zgłupnól. Ón był cały precz, jyny krzyczol: — „Dejcie mi pokuj! Dejcie mi pokuj!“

A tam też był bunkier dlo ludzi. Trzista ludzi wlazło do niego. Do tego bunkra też trefiła bómba. Trzista ludzi tam zustało. Ale Niymcy ani nie ciukli, kierzi tam zustali, ani o wojsku też ni, nic.

Jak bómbaradowali tyn Bogumin, to mie tam na szczyńsci nie było. Bylech w Karwinej na pile, na Sowińcu. Jak ty era jechały, my siedzieli pod mostym, bo my myśleli, że bydóm Karwinóm trzaskać, ale óni polecieli na tyn Bogumin. Potym my jechali do Bogumina. W Boguminie było wszystko strzaskane. Tam stoły wagóny z rudóm, a jak ta bómba trefiła pomiyndzy ty wagóny, to wszystko do góry nogami przewróciła. Przewróciło to. To nie było ku uwierzyniu! Potym tam pościągali rozmańte partyje robotników i dowalimy to do porzóndku. Nasza partyja też tam robiła szternost dni.

Opowiedział  
Jan Sikora — „Janek“,  
emerytowany górnik, urodzony  
8 października 1894 r. w Piersnej,  
zamieszkały w Karwinie-Raju.  
Opowiadanie zapisał Józef Ondrusz.

---

## ROZBILIMY MASZYNYM

---

Za Niymców robilimy, tako partyja samych swoich, na Alpinec. Przed wojnóm sie ta szachta nazywała Waclawka. Tóz strzylalimy tam przekop do mocnego fleca, sztyradwacet metrów hrubego. Robilimy dziynnie trzi metry postympu: rano meter, po połedniu meter, w nocy meter. Był na tej szachcie betribsfirer, Niymiec, kiery sie nazywoł Pet-

schke. Tako pieczka górnośląsko to była! O sobie mówił, że je Petschke, ale ón nóm dobrze rozumioł. Nawet mie namowioł, aż se weznym folkslistym, że móm taki piekne dojczce name, nó ale nie zgodziłech sie, tóz ón też przestoł o tym mówić.

Tyn betribsfirer skłudził na szachtym takóm maszynym, taki szrapper. Bez maszyny my dziynnie robili na

trzy party trzy metry postympu. — „Tym szraperym — powiedział Pet-schke — zrobicie trzy metry na jed-nóm szychty!“ Teraz sie było trze-ba tego prochu wycznie nadychać, ale zarobek nóm zustoł po starymu. Tak my se pomyśleli: — „Tóż to tak! Tóż my bydymy robić trzy metry na każdóm partym, a zarobek bydzie tyn sóm? Chociaż ty marki były i tak psińco wert! Tak wszelijako my roz-ważowali.

Maszyna ta nazywała sie „Westfa-lialinen“. To była tako maszyna, co sie tam naflancowało bormaszyny, wiertarki, tymi sie wiertalo ty dziury, potym sie strzeliło, a tyn forot zaroz ta maszyna ladowała. Miała taki dlógi grabie, tymi grabiami do tego forotu prala, smyczyła to na ruchómy łańcuch i prosto do woza! Jyny przy tym wiertaniu nie było nic widać, co tak ogrómnie moc prochu kamiyn-nego tam było. A to wszystko szło na nasze płuca. Przy robocie sie by-ło trzeba ogrómnie obracać, a po szu-sach było trzeba iść zaroz do przodku i do tego czadu, a to też było strasz-nie niezdrowe. Tóż my se myśleli, że my nogi wyszpanujemy przy tej maszynie, a kónca wojny sie nie do-czkómy.

Tóż my wszelijako rozważowali, ja-koby tymu pómóc. Byli tam tacy szykowni syncy. Był Wojaczek, był tam niejaki Pilecki, był Czudek, kie-ry tych sztyrydzieści dwa robót u-mioł, bo był górnikym we Francycji i w Belgiji. Tóż my wszyscy rozwa-żowali, jakoby tej maszynie pómóc.

Roz tyn Czudek prawi: — „Wiyecie, chłapcy, jo wóm cosi powiy. Jak jo przidym jedyn roz na takóm szy-kownóm logym, kiero bydzie wy-mierzóno akurat na szczańbym tej maszyny, tak jo tak szykownie na tóm logym ty dziury zawiercym, aby

to ta maszyna dostała, ale nas żeby żodyn ni móg winować.

Musielimy se dać pozór! My tam byli sami swoji na tym przekopie, ale chodził tam strzelec z Rychwoł-da, kiery mioł folkslitym, a przed nim musielimy se dać pozór. Ón nóm przidrzistował, przidrzistował, ale my dobrze wiedzieli, co w nim siedzi.

Tóż jedyn roz tyn Czudek uwi-dzioł fajným logym, gładkóm, kiero zmierzała akurat na tyn szraper. Mró-gnył jyny na nas, zawiertoł dziury, a my zaroz wiedzieli, co jest. Przi-szoł tyn strzelec i prawił: — „A do-bróm bateryjym tu dejcie! Dobróm bateryjym tu dejcie!“ Jeszcze sie u-pewnił, aby to było wszystko iste. Bateryjym my dali dobróm, nó i po-tym załadowoł. Jeszcze tyn Czudek powieździł tak: — „Tu wystarczóm dwie patróny!“ A tyn strzelec mu na to: — „Ale kaj dwie patróny, dyć to nie urwie! Trzeba przidać trzy, sztyry patróny wycznie!“ Nó i tak dobre. Załadowalimy, potym my sie skryli we wynyce, a tyn strzelec zakrycił korbóm i buchło. Za chwilym idzie to tam oglóndnóc, bo naprzód piyr-szi szoł dycki strzelec. Dość dlógo go nie było, a my po siebie ciepali oczami. Prawiymy: — „Pieróna, co też tam jyny je?“ Za chwilym czujemy, że idzie. Idzie cały blady, wytryszczóny. Prawi: — „Jeżyżmaryja, syn-cy, dyć cały szraper je rozbity na drobne ograbki! Same kónski tam jy-ny leżóm!“ — „Ni ma możne!“ Idy-my sie tam podziwać. Akurat!

Nó i było trzeba posłać po sztaj-gra. Sztajgier sie nazywoł Majer. Mó-wilimy mu „kormiónio śmierć“, bo był ogrómnie chudy. Tak prziszła ta „kormiónio śmierć“. Na godném chwi-lym mu zastawiło rzecz. Nic nie mó-wił. Nic. Przestoł mówić. Potym pra-wił, jak chycił rzecz, bo to był Gór-noślazok, tóż prawił: — „Powiydzie



mi, jak się to stało? To ni ma możne!“ — „Nie wiemy, jak się to stało! Nawieralimy, naladowalimy, jak każdy inszy roz“.

Wszystkich nas wziyni na wachsztubym, kaj nas potym tyn betribsfirer Petschke przesłóchowol jednego jak drugigo. Przi tym przesłóchaniu wyszło na wyrch, że Czudek powiedziol: — „Jo, jako forhajer na tym przekopie, jo prawil, że tam wystarczy zaladować dwie patróny, ale tyn strzelec prawil: — Ni, tu trzeba trzi, sztyry patróny dołożyć wyncej!“ —

„Aha, tóz to tyn je winny!“ Tak go tam zaroz porwali ci werkszuci i złotali go tam na ławce szlalchami. Jak my wyszli na wyrch po godzinach tego przesłóchanio, to Czudek nóm prawil: — Alech im najsoł do ucha, a óni to wszystko zeźrali!“

Opowiedzial  
Rudolf Ochman,  
nadsztygar, urodzony 5 stycznia  
1904 r. w Lutyni Górnej,  
zmarł 20 grudnia 1981 r.  
w Lutyni Dolnej.  
Opowiadanie zapisał Józef Ondrusz.

---

## O JYŃCACH ROSYJSKICH

---

Podczas wojny, jak my strzylali przekop do pokładu „N“, to nóm przikludzili jynców rosyjskich. Byli to Wielkorusowie. Byli to dobrzi chłopci, byli robotni, ale byli wiecznie głodni, bo byli bardzo źle odżywiani. Tak nasi ludzie im nosili, kiery co móg, nosili im zimnioki, chlyb, chlyb ze szmolcym, a nejbarży to óni chcieli, coby im tak przyniść cebule abo czosku. Óni się boli nimocy.

Roz my się ich pytali, kiedy się ta wojna skóńczy? Tak nóm powiedzieli tak: — „To je dlógo wojna! Ta wojna potrwo jeszcze nejmiyni trzi, sztyry roky. Przed sztyrycatym sztwortym rokym nie czakejcie kónca!“ Potym my się ich pytali: — „Jak myślicie, wygrocie tóm wojnym, czy nie wygrocie?“ A óni prawili: — „Wygrómy jóm, wygrómy! Konieczno ruskie wygrajóm!“ Takóm mieli wiarym, że wygrajóm.

Ku kóńcu wojny, jak już frónt się przibliżol za Olzym, jak my już slyszeli strzylani, jak my widzieli nad Wierzniowicami reflektory, rakiety,

tak Niymcy wiedzieli, że nie peć, że już im tle, a tu Rusów było na szachcie w Dómbrowej tysiónc, w Karwinej ich było porym tysiyncy, tak trzeba ich było ewakuować. I jednego dnia my widzieli, jak wszystkich Rusów Niymcy zgrómadzili i pieszo ich tam w strónym Łazów ku Frydku wiódl. Ale było porym miyndzy nimi, kierzi uciykli. Było to w styczniu sztyrdziesiątego pióntego roku. Tóz nasi ludzie ukryli ich wtedy w jednym kanale na dómbrowski szachcie. I przez cały czas aż do maja ich żywili. Było ich cosi osiym czy dziewiyń tych Rusów. Pod kóniec, jak się już czulo, że to prasknie, tak roz w nocy porozbiyrali hawiryze tych Rusów do siebie do chalup. Miyndzy innymi też do nas, do Lutyni, do rodziny Truchłego też jednego takigo Rusa prziwidyli.

Piyrszego maja, jak Lutyń była wyzwolóno przez Armijym Radzieckóm, to zech się szol podziwiać do Lutyni. Była tam tako wielko brama tryumfalno. Było tam napisane w

dwóch jynzykach, po czesku i po polsku: „Witamy Czyrwónóm Armijym!“ Wisiała też tam kole tego napisu czyrwióno chorągiew.

Tóż jak tak stojmy, a to wojsko rosyjski maszyrowało kole nas, jechały kónie, kónie ciągly kanóny, szły żołniyrki, a tu naroz sie dziwómy, a tu idzie tyn znajómy Rus, kiery też wtedy uciyk i kiery był u Tru-

chłego przechowany. Tak my widzieli, jak był bardzo rod i jak sie zaroz ku swoim głosił, ale już my go potym wyczniej nie widzieli.

Opowiedział Rudolf O c h m a n ,  
nadsztygar, urodzony 5 stycznia 1904  
w Lutyni Górnej,  
zmarł 20 grudnia 1981 r.  
w Lutyni Dolnej.  
Opowiadanie zapisał Józef Ondrusz.

## SŁOWNICZEK WYRAZÓW I ZWROTÓW GWAROWYCH

- abo** — albo  
**aji** — również, nawet  
**amónicyj** — amunicja  
**arch** — arkusz  
**auswajz** — niemiecki dowód osobisty
- bafl** — capł  
**baji** — na przykiąd  
**baran**: **wzióńś na barana** — wziąć na plecy  
**barzy** — bardziej  
**beje** — będzie  
**beknóc** — huknąć (o wystrzale)  
**bele kaj** — byle gdzie  
**berliniok** — mieszkaniec Berlina  
**betriebsfirer** — kierownik kopalni  
**betribsobman** — przewodniczący hitlerowskiej rady zakładowej kopalni  
**bezmali** — podobno, ponoć  
**bicygiel** — rower  
**boroczek** — biedactwo  
**borok** — biedak  
**boskym** — boso, na bosaka  
**bożować** — lamentować, narzekać  
**bómbóny** — cukierki, słodczyce  
**brandwajn** — wódka  
**brusić** — ostrzyć  
**brataniec** — kuzyn  
**brezle** — bułka tarta  
**burzić** — pukać, trzaskać, dobijać się do drzwi
- cechowani** — sprawdzanie obecności górników  
**celt** — namiot; kawał nieprzemakalnego płótna do osłony przed deszczem  
**cesta** — droga  
**ceściska** — drogi [zgrub.]  
**ciepać** — rzucać; **ciepać oczami** — spoglądać  
**cieplisko** — ciepłe, ustronne miejsce  
**ciuknąć: ani nie ciukli** — nawet nie wspomnieli  
**chachar** — cham  
**chladać, chledać** — szukać  
**chodnik: na chodnik** — na drogę  
**chować się** — ukrywać się  
**chrost** — zagajnik  
**chyba** — błąd, uchybienie  
**chybać** — rzucać  
**chybiać** — brakować  
**chycić rzecz** — odzyskać mowę  
**chynóc** — rzucić  
**cosi, cosik, cosika** — coś, coś niecoś
- cug** — pociąg  
**cukle drzewianne** — drewniaki, obuwie z drewnianą podeszwą  
**cumel** — smoczek  
**cyna: za każdóm cyne** — za wszelką cenę  
**czaj** — herbata  
**czetyna** — igliwie  
**czetyniok** — podrost iglasty  
**czuch** — węch  
**ćma** — ciemno; **po ćmi** — po ciemku  
**ćmok** — zmrok
- dachpapiór** — papa do krycia dachów  
**deka** — koc, kołdra  
**dekiel** — pokrywa  
**deli** — dłużej  
**dewatnośćie** — dziewiętnaście  
**diasek: do diaska kany!** — do diabła! do cholery!  
**dochtór** — lekarz  
**dojczé name** — niemieckie nazwisko  
**dołu** — w dół  
**domowa** — porozumienie, umowa  
**dorobić kogo** — wykończyć  
**dorzność** — wygrzmocić  
**dóma** — w domu; **du dómu** — do domu  
**drapl** — łapl  
**drzik** — oprawca  
**drzisty** — gadanina  
**dwiyrze** — drzwi  
**dwojkorz** — właściciel niemieckiej listy narodowościowej nr 2, w pełni sympatyzujący z faszyzmem hitlerowskim  
**dy** — gdy, kiedy; **gdyż, ponieważ; przecież dyby** — gdyby; **dybych** — gdybym  
**dychnyć** — uciec, zwać  
**dycki** — zawsze  
**dyć** — przecie  
**dzieciyncny** — dziecięcy  
**dziedzina** — wieś  
**dziepro** — dopiero  
**dzierzeń** — trzymać  
**dziotcha** — dziewczyna  
**dziwać się** — patrzeć, przyglądać się  
**dziyrgnąć jedném** — wyciąć policzek  
**dziyrzeń** — trzymać; **dziyrzeń do grómady** — trzymać razem  
**dziywczyn** — dziewczę
- egipt** — gips (przejęzyczenie)  
**Eman** — Emanuel  
**ero, eroplan** — samolot

**facka** — policzek, uderzenie w twarz  
**faszyrka** — kotlet z mielonego mięsa  
**feszter** — leśniczy  
**flaki** — niemiecka artyleria przeciwlotnicza (ironicznie)  
**flec** — pokład węgla  
**flobert** — flower  
**fojt** — wójt  
**folksdojcz** — Niemiec  
**folkslista** — niemiecka lista narodowościowa  
**forhajer** — nadgórnik, niższy dozorca kopalniany  
**forot** — węgiel oddzielony od pokładu  
**fórt** — ciągle, stale  
**fujawica** — zamieć śnieżna  
**fungować** — funkcjonować

**gacie** — kalesony  
**gazda** — gospodarz  
**gaździnka, gaździno** — gospodyni  
**gestapiorz** — gestapowiec  
**giąć się** — ruszyć się; **ani nie gniewać się** — nie ruszy się  
**glajz, glajzy** — szyny kolejowe  
**gmina** — urząd gminny  
**godno chwila** — spora chwila  
**godzinki** — zegarek  
**godziny** — zegar  
**gojka** — zagajnik  
**gościna** — uczta  
**grapa** — stronek zbocze  
**groborz** — grabarz  
**grómada: na grómadzie** — w jednym miejscu  
**grómadnica, grómadzisko** — przysmak kamieni usuniętych z pola uprawnego  
**grónt** — gospodarstwo rolne  
**gróń** — góra  
**gumok wóz** — wóz na gumowych oponach  
**gwer** — karabin  
**gymba** — usta

**hajeman** — żelazny stojak podpierający strop kopalni  
**hajlować** — pozdrawiać po hitlerowsku  
**hakowy krzyż** — hitlerowska swastyka  
**halo: było z tego wielki halo** — rozeszło się to po całej okolicy  
**harckie zioła** — zioła pochodzące z gór Harcu  
**harest, hareszt** — areszt, więzienie  
**haw** — tutaj  
**hawiyrnia** — kopalnia węgla  
**hawiyrz** — górnik  
**hned** — zaraz, natychmiast  
**hónym** — prędko, rychło, szybko  
**hruby** — gruby  
**Hundessperre** — kontumacja psów

**hyn** — hen, tam  
**hysiać** — nastawać na kogo, dokuczać komuś

**i jedno drugi** — i tak dalej  
**inakszy** — inaczej  
**inszy** — inny  
**iste** — pewne  
**isto** — pewnie, zapewne, prawdopodobnie;  
**na isto** — na pewno  
**isty** — pewny  
**iście** — pewnie, zapewne, prawdopodobnie

**ja** — tak  
**ja: aby ja śladu nie zrobić** — żeby w żadnym wypadku nie pozostawić śladu;  
**coby ja na to nie przyszli** — w żadnym wypadku; **postępować ja ostrożnie** — jak najostrożniej  
**jagodnik** — zieleł poziomki  
**jedynost** — jedenaście  
**jedzyny** — jadło, posiłek  
**jelita** — kaszanka, kiszki nadziane kaszą i krwią  
**jezeryjo!** — labogał  
**Jeżyżmarija!** — Jezus Maria!  
**jyny** — tylko

**kabot** — surdut; **kabot obracać** — zmieniać zapatrywania światopoglądowe  
**kaj** — gdzie, dokąd  
**kaj jyny** — gdziekolwiek  
**kajsi, kajsikej** — gdzieś  
**kanón** — działo, armata  
**kantnóć się** — przewrócić się, upaść  
**kany** — gdzie, dokąd  
**kańsi, kańsik** — gdzieś  
**kapeczke** — trochę  
**kapke, kapkym** — trochę  
**Karel** — Karol  
**kark: zima była na karku** — zima była tuż-tuż  
**kartaczować** — szcزتkować  
**kartka** — bilet kolejowy  
**kicisko** — szynka (żartobliwie)  
**kiejzi** — kiedyś  
**kierchów** — cementarz  
**kiery** — kto, który  
**kierysi** — ktoś  
**kiśnia** — skrzynia  
**kiwać kogo** — dokuczać komuś, prześladować kogoś  
**kiwnóć kogo** — wyprowadzić w pole, oszukać kogoś  
**kłośkać** — klaskać  
**kludzić** — prowadzić  
**klaść ogiń** — rozpalać ognisko  
**kobylińca** — końskie łajno  
**kofel** — słój, stoik  
**kole** — koło, około

**koleje** — tory kolejowe  
**koło** — rower  
**kopidół** — grabarz  
**kójszek, kójszczyzek** — kawałek, kawałeczek  
**kół** — drąg  
**kómpiel** — łaźnia na kopalni  
**kóncyntrak** — hitlerowski obóz koncentracyjny  
**kóniczkorz** — woźnica  
**kóntrolka** — karta kontrolna  
**krowiniec, krowińco** — krowie łajno  
**kuchcić** — przyrządzać jadło  
**kuchyn** — kuchnia  
**kulać się** — koziołkować, toczyć się w dół  
**kupa ludzi** — gromada ludzi  
**kwaki** — karpiele

**lager, lagier** — obóz  
**lagrowy** — obozowy  
**landwacha** — niemiecka straż obywatelska  
**lebo** — albo, lub  
**lepi** — lepiej  
**locina** — żelazo lane  
**loga** — laska, patyk; warstwa węgla  
**losmilowanie!** — labogał  
**luft** — powietrze; **puścić do luftu** — wysadzić w powietrze  
**łach** — cham, zły człowiek  
**łapnąć** — schwytać, złapać  
**łóm: robić łóm** — dawać się Niemcom we znaki  
**łómy** — kamieniołomy  
**łub** — kora drzewa

**magacyn** — magazyn, składnica  
**Malka** — Amalia  
**mamlas** — głupiec, niezdara  
**mantel** — płaszcz  
**margirowani folksdojceze** — ludzie udający Niemców, rzekomi Niemcy  
**mary** — katafalk  
**maryna** — marynarka niemiecka (ironicznie)  
**maszynpistoła** — pistolet maszynowy  
**metalka** — dział metalurgiczny w hucie  
**mianować** — wymieniać po nazwisku  
**moc** — dużo, sporo, wiele  
**morowy** — duży, wielki  
**motać się** — mocować się  
**mónicyja** — amunicja  
**mrowczo kupa** — mrowisko

**naflancować** — nasadzić  
**naostatku!** — akurat! (wyraz sprzeciwu)  
**nasadzony na partyzantów** — skierowany przeciwko partyzantom  
**nasamolić się** — rozgniewać się, zirytować się  
**nasmolóny** — zirytowany

**naspadek** — z powrotem  
**naszel** — znalazł; **naszli** — znaleźli  
**naszybować** — skierować  
**nazaret** — lazaret, niemiecki szpital wojskowy (przejęzyczenie)  
**nazoć** — z powrotem  
**nejbarzy** — najbardziej  
**nejpiyrwej** — najpierw  
**niechać** — pozostawić  
**niefrekwentowany** — nieuczęszczany, rzadko odwiedzany  
**nieszkrobany** — nie obrany (ziemiak)  
**nikierzi** — niekiedy  
**ni ma możne!** — niemożliwe!  
**nimoc** — choroba  
**niżi** — poniżej  
**niżni** — dolny  
**norónczko** — naręcze  
**nowocyjan** — nowicjusz  
**nońść** — znaleźć; **nie naszli** — nie znaleźli

**obezdrzyć się** — obejrzyć się  
**obgańka** — kontrolna jazda windy  
**obleczy, obleczy, łobleczi, łobleczy** — ubrać, przyodziewek  
**oblyc, łoblyc** — ubrać  
**obyczejnie** — zazwyczaj  
**obyć, łobyć** — ocaleć  
**obzolany, łobzolany** — obtoczony, panierowany  
**ocas** — ogon  
**ociec, łociec** — ojciec  
**odbywać (krowy)** — karmić  
**oddychnóć se** — odechnąć z ulgą  
**odpolednia** — po południu  
**odpoledniajszy** — popołudniowy  
**odsztymplować kóntrolke** — odbić na kartce kontrolnej czas przyjścia na zmianę  
**ogarbować, łogarbować** — ogarniać  
**ograbki** — okruchy rozbitej całosci  
**olmaryja** — szafa  
**opamiyntać** — ocucić, przywrócić do przytomności  
**oprawić, łoprawić** — naprawić, zreperować  
**ordnerzi** — pomocnicy policji hitlerowskiej  
**orłab, łorłab** — urlop  
**orstwie** — drewniane stojaki do suszenia siana  
**oswobodzać, łoswobodzać** — wyzwalać  
**ozery** — kpiny; **wybiyrać ozery** — kpić, ośmieszać kogos

**paczek** — paczka  
**padnóć** — polec  
**pakaż** — zgraja  
**paniczka** — pani  
**papiiry** — dokumenty

- paprucci** — paprocie  
**par!** — patrz! spójrz!  
**parta** — zmiana, dniówka  
**paść** — polec  
**patróny** — naboje, ładunki materiału wybuchowego (w kopalni)  
**paża: pod pażóm** — pod pachą  
**peć: że nie peć** — że nic nie pomoże, nie ma wyjścia  
**pieczka** — suszony owoc  
**pierzinka** — poduszka  
**pila** — tartak  
**pisać sie** — nazywać się  
**pistola** — pistolet  
**plachta** — prześcieradło  
**pochować** — pogrzebać; ukryć  
**pochowany** — pogrzebany  
**poczkać** — zaczekać  
**podarziło sie** — ułło się  
**podfuk** — podstęp  
**podgarli** — podgardle (wieprzowe)  
**podporować** — wspierać, pomagać  
**podziwać sie** — popatrzeć, spojrzeć  
**pojzczać** — pożyczyć  
**pojmy!** — chodźmy!  
**pokuj** — spokój  
**ponikiedy** — niekiedy  
**ponikierzy** — niekiedy  
**popraskany** — popękany  
**popuczóny** — pognieciony  
**poradzić** — potrafić  
**poseblykać sie** — rozebrać się  
**posiła** — pomoc  
**poslechnóć** — usłuchać  
**posmykować** — pociągać, wlec  
**post** — wartownik  
**postrzodek** — wewnątrz; **z postrzodka** — z wewnątrz; **w postrzodku** — wewnątrz  
**poszczęścić kómu** — życzyć szczęścia  
**poszuszkąć** — poszeptać, powiedzieć szep-tem  
**powiyl** — dopóki  
**powo!** — powała, sufit  
**pozór!** — uwaga! **dować pozór** — uważać  
**póldrugo godziny** — półtora godziny  
**pómału** — niemal (co drugi dzień)  
**póńść** — pójść, odejść  
**prać** — uderzać, bić, grzmocić  
**pras! do lasa** — buch! do lasu  
**prasknie** — pęknie  
**prawić** — mówić, powiadać  
**precz: był cały precz** — zupełnie wyko-  
 lejony, wykończony  
**prodło** — bielizna  
**prowie** — właśnie w tej chwili  
**przeciepować** — przerzucać  
**przekop** — główny korytarz w kopalni  
**przewylc sie** — przebrać się; **przewlykać sie** — przebierać się  
**przez to** — pomimo tego  
**przychlybiać sie** — przypochlebiać się, przymilać się  
**przidać** — dodać, dołożyć  
**przidaszek** — mały daszek  
**przidrżystować** — przytakiwać  
**przikłudzić** — przyprowadzić  
**przikopa** — rów  
**przismyczyć** — przywlec  
**prziwiysć** — przyprowadzić  
**prziwrzyć** — przymknąć  
**przizdrzić sie** — przyjrzeć się  
**przyńdźmy sie** — przejdźmy się  
**psińco wert** — nic nie warte  
**pusa** — całus, pocałunek  
**puścić sie** — pośpieszyć  
**pyńdzialek** — poniedziałek  
**pytać** — prosić  
**pytać sie** — zapytywać  
**raczy** — raczej  
**radijistka** — radiotelegrafistka  
**rajch** — Reich, Rzesza Niemiecka  
**rewizyrka** — punkt kontrolny w hucie  
**reż** — żyto; **rża** — żyta  
**riterkrojć** — Ritterkreuz, najwyższe odznaczenie hitlerowskie  
**robota: na roboty** — na prace przymusowe  
**robotny** — pracowity  
**rod: być rod** — być zadowolony  
**rodzina** — krewni, powinowaci  
**rozdziwióńi** — rozproszeni, zlikwidowani  
**rozprowiać** — rozmawiać  
**roźnóć** — zapalić światło  
**rychli** — wcześniej  
**ryp! biczyskym** — trzas! biczyskiem  
**ruła** — rura  
**Rus** — Rosjanin  
**ruźówki** — gátunek wczesnych ziemniaków  
**rzazać** — ciąć piłą  
**rzecz** — mowa  
**rzeknóć** — rzec, powiedzieć  
**rzykać** — modlić się  
**sadzić na ostatnióm karte** — postawić na ostatnią kartę  
**sagi** — nagi  
**sakra!** — cholera!  
**sarnio buda** — paśnik dla sarn  
**schować sie** — ukryć się  
**schynóć** — zrzucić  
**sebylc, sewlyc** — zdjąć ubranie  
**siedlok** — rolnik  
**skidnóć sie** — upaść, zwalić się na ziemię  
**skludzić** — sprowadzić  
**skrynt** — papieros skręcony w palcach  
**skyrś** — z powodu  
**słózić ogiyń** — rozpałić, rozniecić ogień  
**smreczki** — małe świerki  
**smrek** — świerk

**smyczyć** — ciągnąć, wlec po ziemi  
**smydzić** — dymić  
**snoza** — wądół, nierówność, wyboje  
**spamiętać się** — ocknąć się, oprzytomnieć  
**spatki** — z powrotem  
**spozorować** — zauważyć  
**spómagać** — wspierać, pomagać  
**spórny** — złośliwy, zły  
**sprawa** — wiadomość, informacja  
**starka** — babcia; staruszka  
**stawić się** — wstąpić do kogoś  
**strażny** — wartownik  
**stróm** — drzewo  
**strzoda** — środa  
**s'urzić** — trącić do czegoś  
**stusek papierów** — siera, wiązka dokumentów  
**suć** — sypać, rozsypywać  
**swaczyć** — spożywać drugie śniadanie lub podwieczorek  
**swaczyniarnia** — pokój do spożywania drugiego śniadania lub podwieczorku  
**swobodny** — niezonaty  
**synek** — chłopiec  
**szachta** — kopalnia węgla  
**szachtowy** — kopalniany  
**szaflik** — balia (naczynie)  
**szajty** — polana, drwa  
**szandar, szantar** — żandarm  
**szaty** — odzież, ubranie, ubiór  
**szczańba** — szczęka  
**szenska** — kobieta  
**szlach** — wąż gumowy  
**szlapać** — iść, kroczyć  
**szmolec** — smalec  
**sznelcug** — pociąg pospieszny  
**sznórka** — sznurek, tasiemka  
**szol** — winda kopalniana  
**szpatnie** — brzydko  
**szpekulant** — spryciarz  
**szpeku!ować** — zamierzać, planować coś  
**szpryngować** — wysadzać w powietrze  
**sztacyjón** — stacja kolejowa, dworzec, przystanek  
**sztajgier** — sztygar, dozorca kopalni  
**szfalwerk** — stalownia w hucie  
**szternost** — czarnaście  
**sztopować** — ubijać, upychać  
**sztreka** — tor kolejowy  
**sztwor:ek** — czwartek  
**sztyl** — rękojeść  
**sztympel** — stojak podpierający strop kopalni  
**sztyry** — cztery  
**sztyrycet** — czterdzieści  
**sztyrydzieści dwa robót umieć** — znać się na wielu czynnościach, być wszechstronny  
**szumny** — piękny  
**szus** — wystrzał

**szusnóć** — grzmotnąć, uderzyć  
**szychta** — zmiana, dniówka  
**szychmajster** — zmianowy, dozorca górniczy  
**szykownie** — sporo  
**szykowno loga** — odpowiednia, nadająca się warstwa węgla  
**szykowny człowiek** — uprzejmy, życzliwy zgrabny, zwinny  
**szyńdzioly** — gonty  
**ściebło** — źdźbło  
**ściepać** — rzucić  
**tagechmy** — tak żeśmy  
**tako: chodzić tako** — w cięży  
**Talijan** — Włoch  
**tamstela** — stamtąd  
**taszka** — torebka, torba  
**tatulek** — ojciec  
**tchóć się** — tknąć  
**tela** — tyle  
**telefon** — słup telefoniczny  
**tłóć się** — iść z trudem, wlec się  
**tóź** — więc, zatem  
**trap: być w trapu** — uciekać  
**trówla** — trumna  
**trufać** — przypuszczać  
**trzepać się** — drzeć, trząść się  
**trzycielina** — masa z tartych ziemniaków  
**tuki** — tu, tutaj  
**trzyty** — tarty  
**tydzyń: o tydzyń** — po tygodniu  
**tyrckać** — śpieszyć  
**tyrczeć** — wystawać  
**uchylić się** — przenieść się (na inny teren)  
**ućpany** — ugnieciony, zapchany  
**udzierzyć się** — utrzymać się  
**ukoż!** — pokaż!  
**ulechzić** — ulżyć  
**umotany** — zmęczony  
**umrzyty** — zmarły  
**upozornić** — ostrzec, zwrócić uwagę komuś  
**uwalić, luwalić kómu** — uderzyć mocno, trzasnąć  
**uż** — już  
**wacha** — warta, straż  
**wachować** — pilnować, strzec  
**wachsztuba** — lokal straży na kopalni lub w hucie  
**waryjot** — wariat  
**warzić** — gotować  
**warzónka** — krupnik (napój z wódki i miodu)  
**watowany** — podbity watą  
**wciepać** — wrzucić  
**wczaśny** — wczesny  
**wedla, wedle** — obok  
**werkszuc** — strażnik na kopalni lub w hucie  
**wiela** — ile

**wilczok** — wilczur  
**winować** — obarczać winą, zarzucać ko-  
 muś winę  
**witelo** — gatunek margaryny  
**wiść** — prowadzić  
**wylźć** — wejść  
**wojok** — żołnierz  
**wrazić** — włożyć, wsunąć  
**wszecko** — wszystko; **wszeczy** — wszyscy  
**wszelijako** — różnie, rozmaicie  
**wyciepować** — wyrzucać  
**wychybować** — wyrzucać  
**wydzierżec** — wytrzymać  
**wylazować** — wylazić  
**wyoblykać się** — ubrać się  
**wypłacić kogo** — ukarać  
**wyrch** — wierzch; powierzchnia; **we wyr-  
 chu** — u góry  
**wyrchowiec** — wierzchołek drzewa  
**wyrobić papiery** — załatwić dokumenty  
**wyrobić pole** — ulepszyć przez usunię-  
 cie kamieni  
**wyrukować** — wyruszyć, pójść, udać się  
 gdzieś  
**wystoć** — wycierpieć  
**wysylaczka** — nadajnik radiowy  
**wyszi** — wyżej, powyżej  
**Wysznió Bróna** — Wyższa Brama (dzielnica  
 Cieszyna)  
**wyszpanować nogi** — wyciągnąć, wyprosto-  
 wać nogi, umrzeć  
**wytoczyć się** — skrócić, uczynić zakręt  
**wytracić się** — wynieść się, zniknąć, zwiąć  
**wyuzyc** — wykorzystać

**Volkslista** — niemiecka lista narodowoś-  
 ciowa

**zabijaczka** — świniobicie  
**zaburzić** — zastukać  
**zadek: ze zadku** — od tyłu

**zadekowany** — zakryty  
**zakurzony** — zasypany śniegiem  
**zalegnąć** — położyć się, przyczać się  
**zaobleczeni** — odzież, ubranie, przyodzie-  
 wek  
**zapaść** — zasypać, zakryć  
**zastawić** — zatrzymać  
**zawadzać** — przeszkadzać  
**zawczasu** — jak najprędzej  
**zawiyrać** — zamykać; **zawrzyty** — zam-  
 knięty  
**zdało się** — wydawało się  
**zebrać się** — ubrać się  
**zećmiło się** — ściemniło się  
**zegnać** — spędzić [ludzi]  
**zemrzeć** — umrzeć  
**zesiadano krew** — skrzepła krew  
**zeżynność cośi** — postarać się o coś  
**zganiać** — spędzać  
**zglupnąć** — zgłupieć, popełnić czyn nie-  
 rozsądny, nierozważny; zwariować  
**zieleżniok** — wóz na żelaznych rafach  
**zieleżny** — żelazny  
**zima** — zimno, chłodno  
**zimiozczónka** — zupa ziemniaczana  
**zimioki** — ziemniaki  
**złotać** — zbić, wygrzmocić  
**zmordowany** — zmęczony  
**zorkowo kawa** — kawa ziarnista  
**zónść** — zająć  
**zrolować** — zwinąć w rulonik  
**zwietrzyć** — zauważyć  
**zwyirzolekarz** — weterynarz  
**zwyrtność się** — obrócić się  
**zygnalka** — domek stróża kolejowego

**ździorba** — graty  
**żrani** — żarcie  
**żniści** — saperzy, wojsko techniczne  
**żynąć** — pędzić  
**żyńsko** — kobieta  
**żywobyci** — życie



---

## SPIS TREŚCI

---

Dr Stanisław Kondziolka: Aby już nigdy więcej. . .	3
Jan Szymik: Przedmowa	7
Dr Józef Ondrusz: Wprowadzenie	9
<b>TEKSTY LUDOWE</b>	
Pieśń ludowa	14
Przysłowia	14
Anegdoty	15
<b>OPOWIEŚCI WSPOMNIENIOWE</b>	
Pierwsze godziny najazdu niemieckiego w Stonawie (Włodzimierz Hebda, Olbrachcice)	21
Ani już to ni mogym opowiadać, bo to było straszne (Franciszka Kokotkowa, Łąki nad Olzą)	22
Czterysta marek za Polaka (Maria Biesowa, Karwina 2)	23
Miałach syna (Tekla Burianowa, Łąki nad Olzą)	25
Ciężko w to łuwierzić, co my przez wojne przeżywali (Jan Jeżowicz, Koszarzyska)	26
Jak my żyli w lesie (Maria Ruszowa, Karpętna)	29
Z moich wspomnień z obozu koncentracyjnego (Jan Sembol, Karwina 2)	34
Ludzie sie ukrywali przed gestapym (Rudolf Ochman, Lutynia Dolna)	38
O koledze Adasiu (Aniela Kupcowa, Nydek)	41

<b>O Stasiu Ruckim</b> (Aniela Kupcowa, Nydek)	41
<b>O ucieczce ze szponów gestapo</b> (Jan Madzia, Nydek)	42
<b>O partyzanckim żywobyciu w lesie</b> (Jan Madzia, Nydek)	47
<b>O strasznych czasach</b> (Zofia Chlebowa, Żuków Górny)	53
<b>O zbrodni hitlerowskiej w Łomnej Dolnej</b> (Maria Cieciotkowa, Łomna Dolna)	56
<b>Niemcy wywozili rolników</b> (Rudolf Ochman, Lutynia Dolna)	58
<b>Robilech na kolei</b> (Jan Sikora, Karwina-Raj)	59
<b>Rozbilimy maszynym</b> (Rudolf Ochman, Lutynia Dolna)	60
<b>O jyńcach rosyjskich</b> (Rudolf Ochman, Lutynia Dolna)	62
<b>SŁOWNICZEK WYRAZÓW I ZWROTÓW GWAROWYCH</b>	64



**J Ó Z E F O N D R U S Z**  
**WSPOMINKI OKUPACYJNE**  
**OKRUCHY FOLKLORU CIESZYŃSKIEGO**

\*

**REDAKTORZY PUBLIKACJI**  
**ANNA ONDRUSZ**  
**JAN SZYMIK**

\*

**OPRACOWANIE GRAFICZNE**  
**ANTONÍN POLÁŠEK**

\*

**WYDAŁ**  
**ZARZĄD GŁÓWNY**  
**POLSKIEGO ZWIĄZKU**  
**KULTURALNO-OŚWIATOWEGO**  
**SEKCJA FOLKLORYSTYCZNA**

\*

**NAKLAD: 1000 EGZEMPLARZY**

\*

**CZESKI CIESZYN**  
**1981**





ILUSTRACJE  
do publikacji

Józef Ondrusz

WSPOMINKI OKUPACYJNE

---

**FOTOGRAFIE  
WYKONANE PRZEZ RÓŻNYCH AUTORÓW  
UDOSTĘPNILI NARRATORZY**



ILUSTRACJE

KN II 12375



KN 12375

Grupa partyzantów w Beskidach

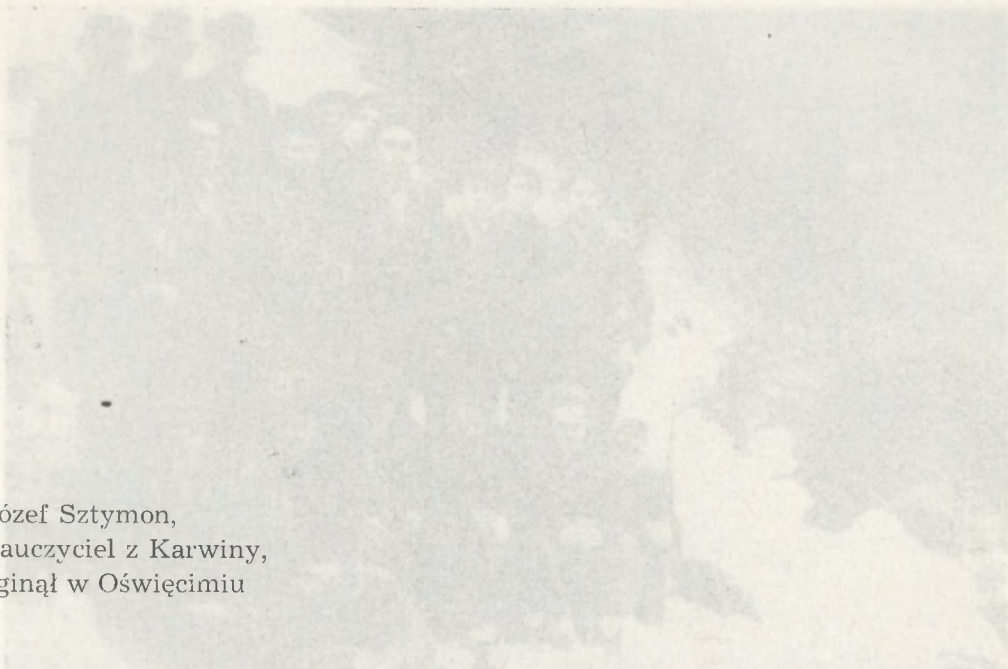
WSPOMNIENIA

FOTOGRAFIE  
WYKONANE PRZEZ KOSZYCZAN  
UDZIAŁ WYKONALI

Dom Józefa Jeżowicza w Koszarzyskach  
na „Łabajce“







Józef Sztymon,  
nauczyciel z Karwiny,  
zginął w Oświęcimiu

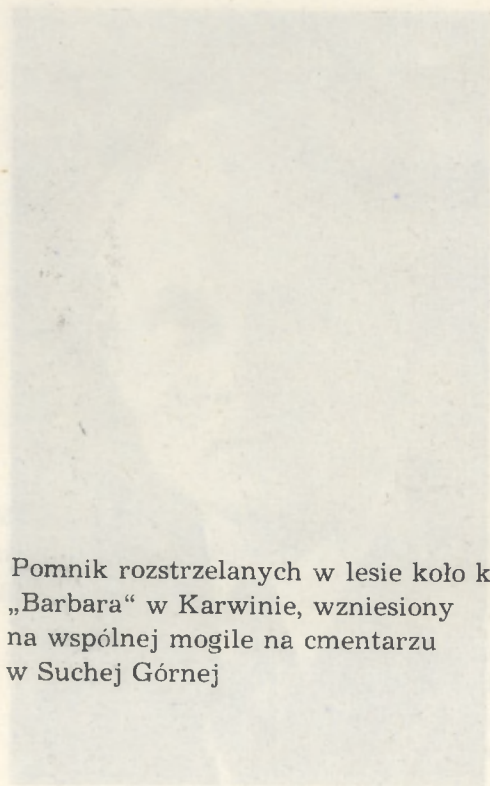
Edward Siuda z Karwiny,  
absolwent gimnazjum orłowskiego,  
zginął w Oświęcimiu



Maria Ruszowa — „Partyzantka“  
z mężem, synem i córeczką  
urodzoną w lesie

Józef Jeżowiec z Michałem Gryniewskim,  
zwanym przez partyzantów „Grubym Miszą“





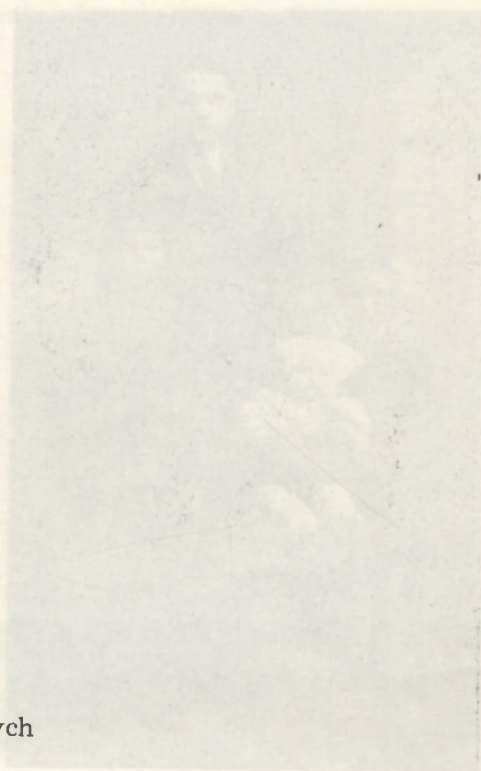
Pomnik rozstrzelanych w lesie koło kopalni  
„Barbara“ w Karwinie, wzniesiony  
na wspólnej mogile na cmentarzu  
w Suchoj Górnjej



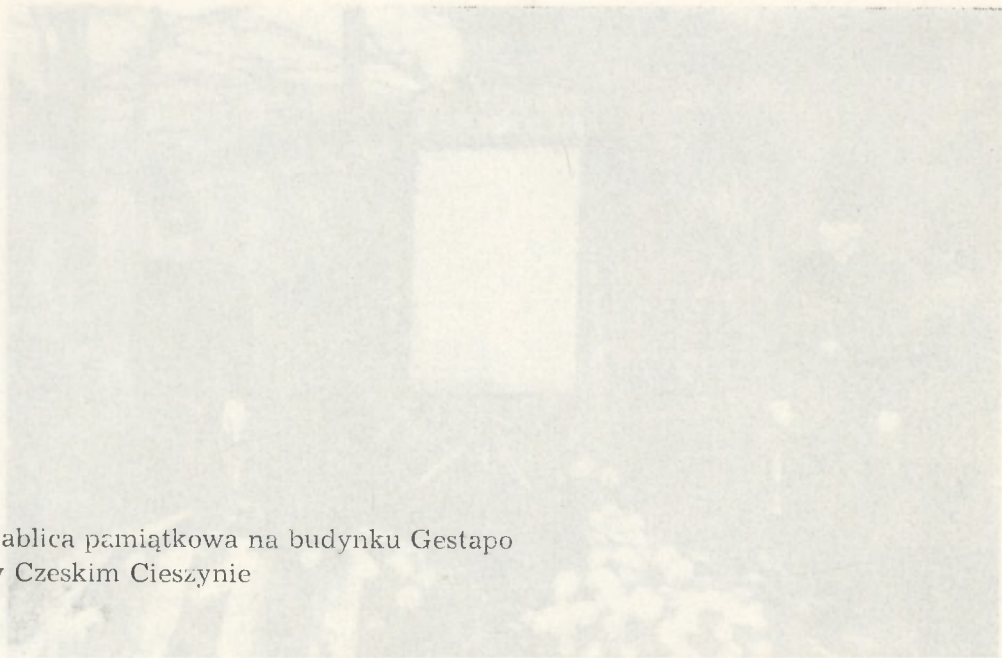
W Karwinie,  
miejscu orłowskiego



Pomnik na grobie partyzantów pogrzebanych  
na cmentarzu w Nydku

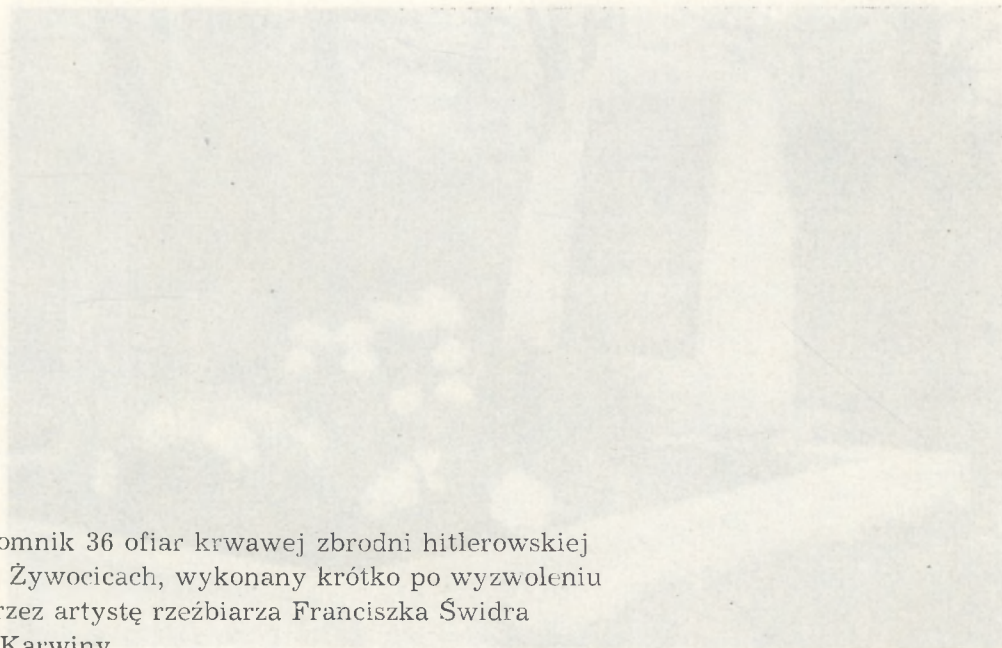






Tablica pamiątkowa na budynku Gestapo  
w Czeskim Cieszyńie

Kajdany, w których uciekł gestapowcom  
Jan Madzia z Nydku

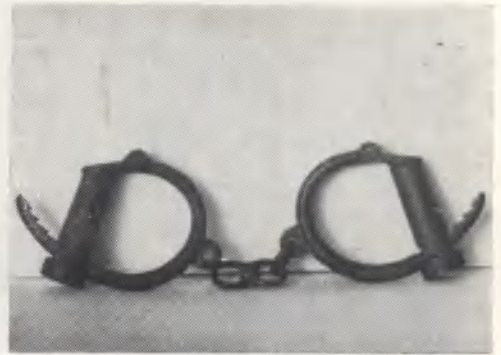


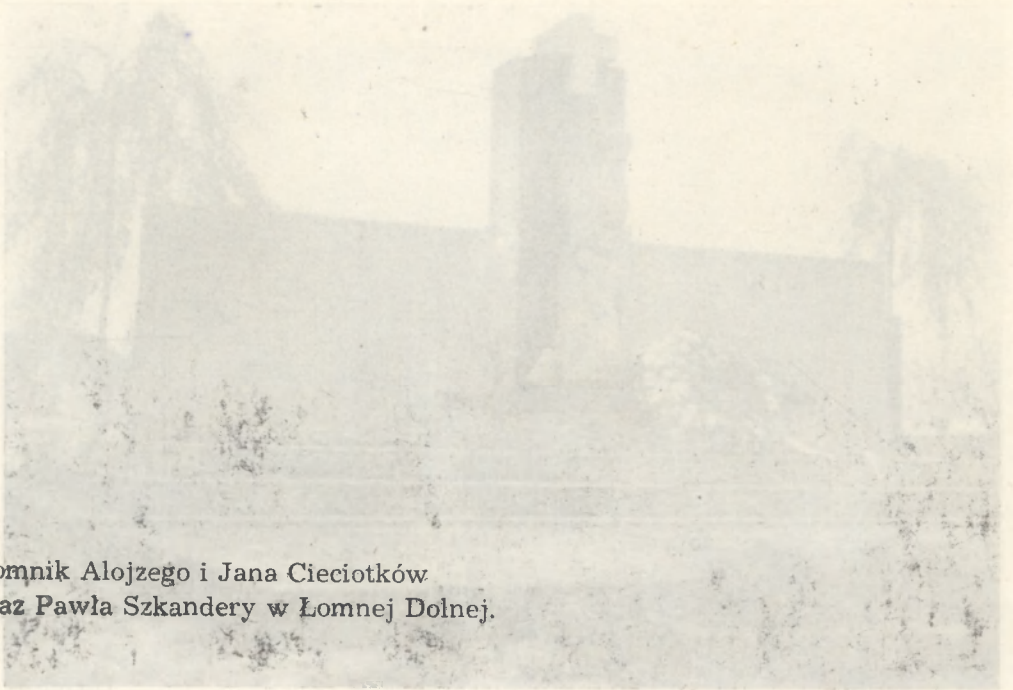
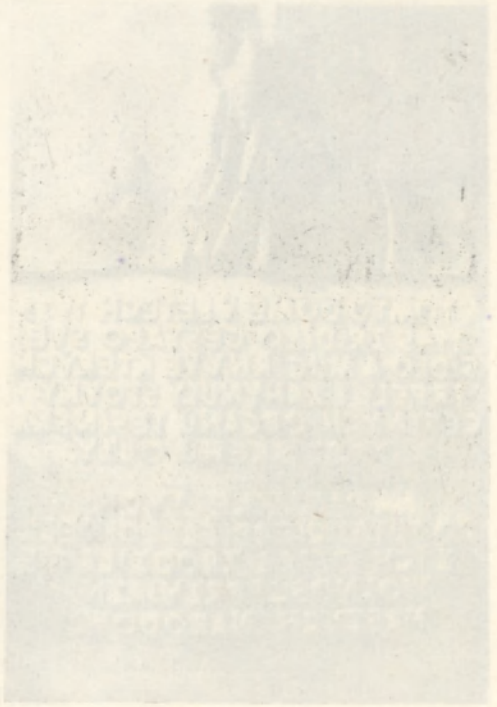
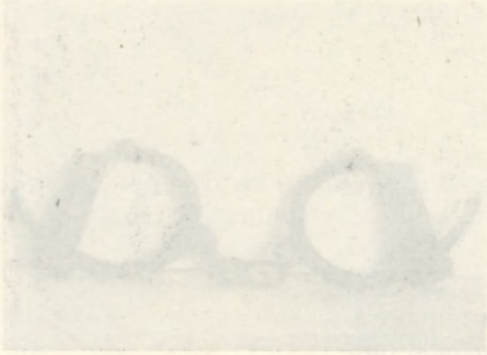
Pomnik 36 ofiar krwawej zbrodni hitlerowskiej  
w Żywocicach, wykonany krótko po wyzwoleniu  
przez artystę rzeźbiarza Franciszka Świdra  
z Karwiny



V TOMTO DOMĚ V LETECH 1939  
-1945 ZŘÍDIL GESTAPO SVĚ-  
SIDLO A MŮGIRNY VE KTERÝCH  
TRPĚLY ZAHYNULY STOVKY  
ČESTNÝCH OBCANŮ TĚŠINSKA  
I OSOB BREHU OLZY.

NA PAMĚŤ TÝCH,  
KO TUTA ŽERPELI I GINĚLI  
I ICH OHR ZRODILA SE  
WOLNOSTI PRZYJAZN  
NASTYCH NARODŮ.

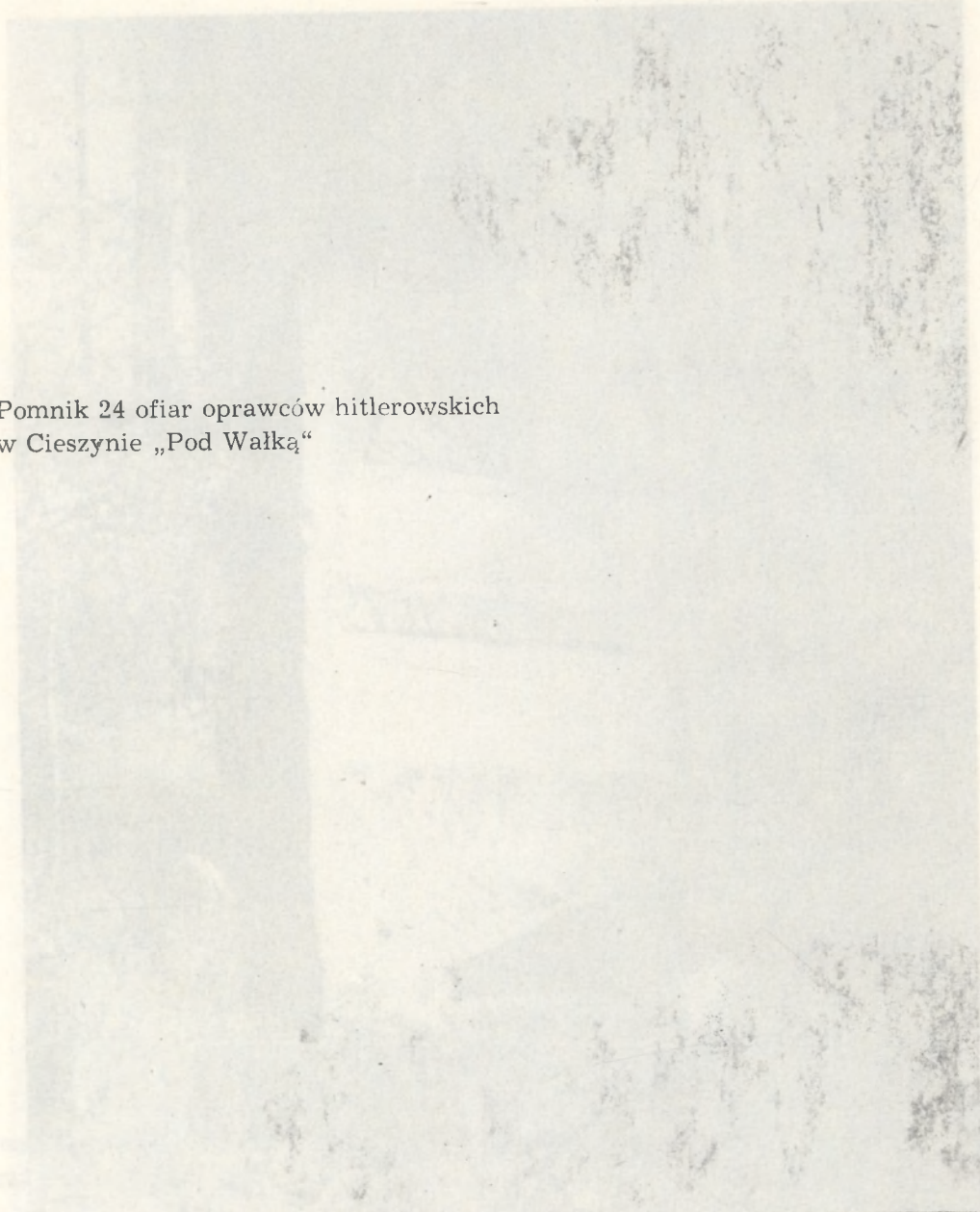




Pomnik Alojzego i Jana Cieciorów  
oraz Pawła Szkadery w Łomnej Dolnej.







Pomnik 24 ofiar oprawców hitlerowskich  
w Cieszynie „Pod Wałą“

Pomnik ofiar terroru hitlerowskiego  
w Łomnej Dolnej

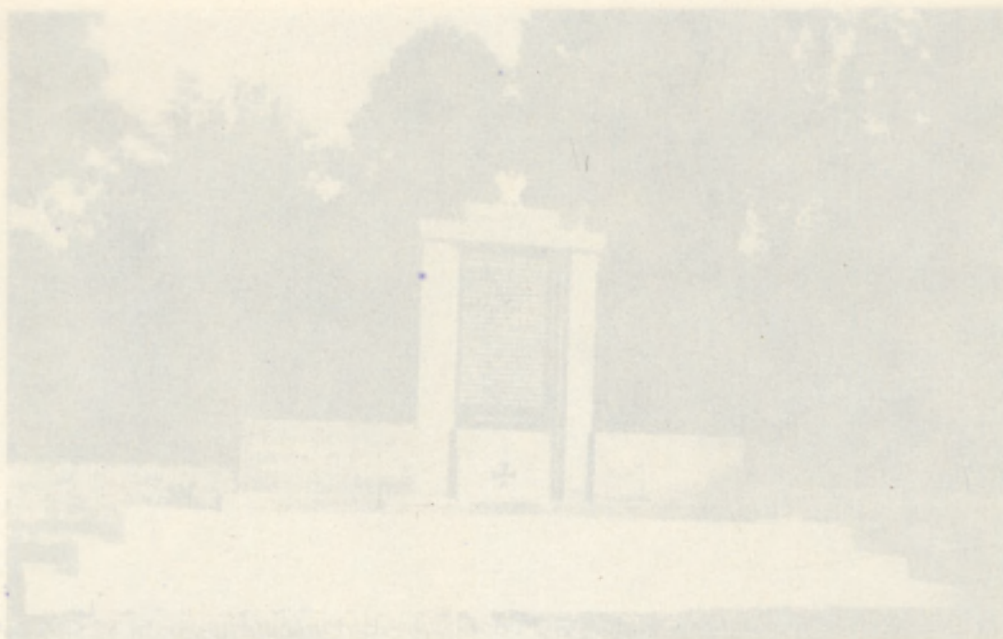


**OBETEM NACISMU**

◊	2	2	1925	†	26	11	1944
>	1	7	1927	†	26	11	1944
◊	30	5	1898	†	12	7	1944
◊	5	6	1906	†	18	3	1944
◊	17	10	1917	†	13	6	1944
◊	21	10	1909	†	13	6	1944
◊	15	10	1915	†	13	6	1944
◊	7	2	1910	†	21	4	1943
◊	6	3	1915	†	10	1	1943
◊	11	12	1862	†	28	6	1943
◊	13	4	1888	†	6	4	1945

**OFIAROM HITLERYZMU**

◊	8	11	1913	†	6	4	1945
◊	24	4	1909	†			1943
◊	17	10	1911	†	13	7	1944
◊	11	3	1923	†	4	4	1945
◊	13	3	1915	†	14	9	1944
◊	27	4	1911	†	13	9	1944
◊	25	7	1920	†	21	1	1944
◊	16	4	1913	†	14	5	1944
◊							1944
◊							1944

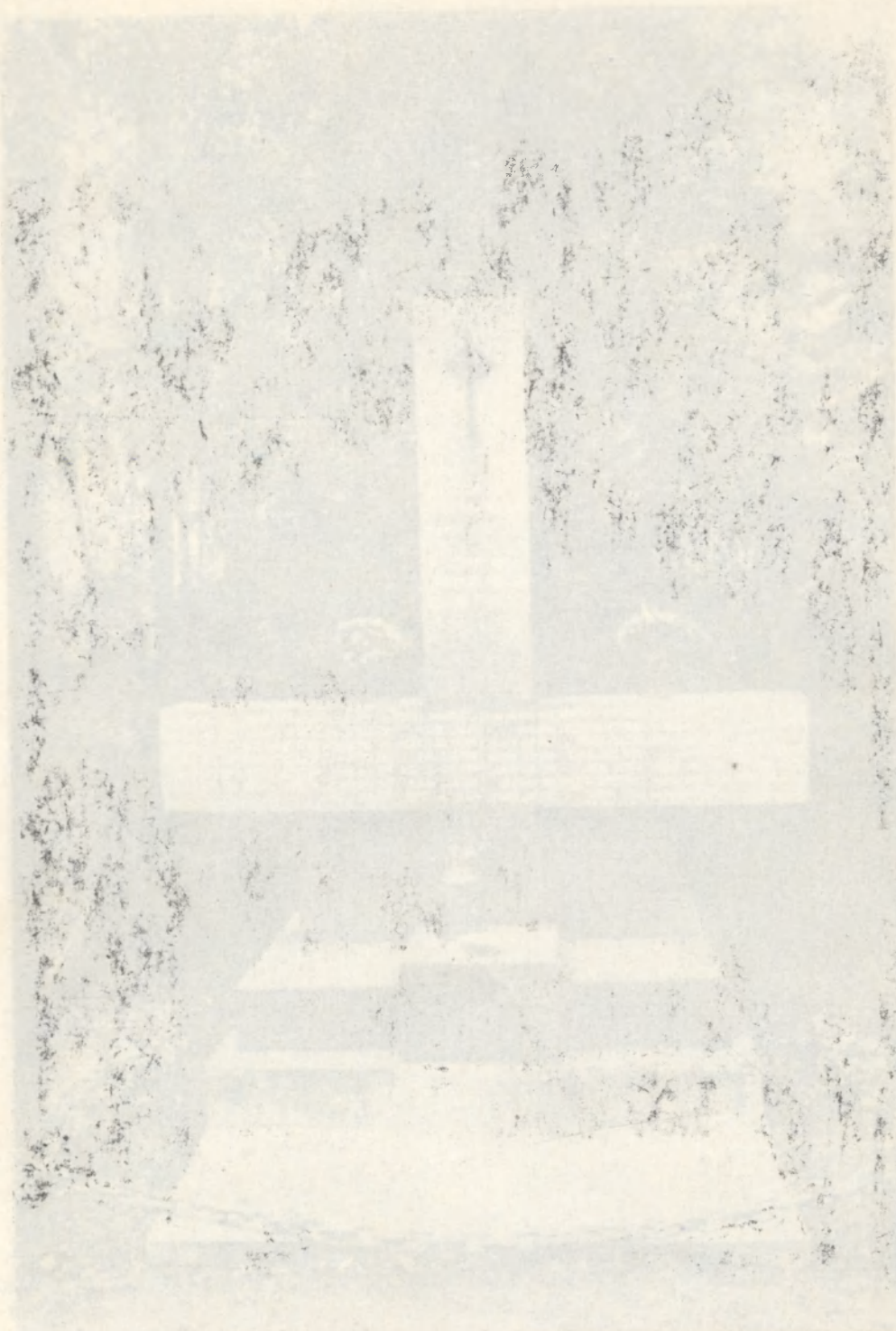


Pomnik ofiar faszyzmu hitlerowskiego  
w Chęcinie „Pod Walką”



Pomnik ofiar faszyzmu hitlerowskiego  
w Wędryni





**Książnica Cieszyńska**

KN II 12375